

— Oho! — zawołał z głośnym wybuchem śmiechu czternastoletni wyrostek siedzący jak na koniu na murze, który otaczał jeden z najbliższych ogrodów i przypatrujący się z drwiącą ciekawością zakłopotaniu strojnej gromadki — oho! — powtórzył dmuchając w palce i podrzucając je w górę ruchem właściwym swawolnemu ulicznikowi — dawno już przefrunęła!

— Jakto, już przepłynęła?! — zabrzmiał okrzyk pełen niepokoju — więc spóźniliśmy się. A następny statek o której godzinie tu się zatrzymuje?

— Jutro o tej samej — mówił ulicznik szydząc widocznie z zakłopotanych. — Ostatnia muszka przeleciała, nie zatrzymując się wcale, pół godziny temu i dziś się już więcej nie pokaże... Sekwana w złym humorze, a gdy się gniewa nie lubi, żeby jej coś brzęczało nad uchem. Może piękne panie spróbują, jak święty Piotr...

Nie dokończył złośliwego konceptu, który się wymykał z drgających od śmiechu ust. Ogłuszający huk wstrząsnął powietrzem, jaskrawe światło zamigotało i zgasło z błyskawiczną szybkością i w tej samej chwili, w pobliżu, olbrzymia gałąź gruszy obciążonej owocem z łoskotem spadła na ziemię. Przerazenie zatamowało oddech w piersiach obecnych, tak, że ani jeden okrzyk trwogi nie dał się słyszeć. Wielkie, grube krople gorącego deszczu, które z początku zaczęły spadać powoli, zamieniając się następnie w strugi wody, sprawiły nieopisany popłoch. Uciekano w różne strony, usiłując znaleźć jak najbezpieczniejsze schronienie pod drzewami, lub pod murami, opasującymi najbliższe ogrody. Postrojone panie otwierały z pośpiechem parasolki, barwne jak skrzydła motyle, powiewające kaskadami wstążek i koronek, które wkrótce zwiesiły się smutnie nad głowami swoich właścicieli. Ulewa trwała zaledwie chwil kilka, tak jednak była gwałtowną, że strumienie wody zaczęły się staczać z głośnym szmerem z wszystkich ścieżek i pochyłości.

— Co tu robić?... jakże teraz damy sobie radę?... — powtarzali wszyscy z niepokojem.

— Daleko ztąd do mostu? — zapytał ktoś z pomiędzy zebranych, zbliżając się do muru, na którym ciągle jeszcze siedział konno mały ulicznik, znacznie jednak skromniejszy i cichszy, od czasu jak mu piorun huknął nad samym uchem.

— Pół mili mniej więcej, idąc łąkami i bocznymi ścieżkami, drogą jednakże o wiele jest dalej — odparł malec.

Ażurowe pończoszki i wycięte leciutkie trzewiczki, nie były wcale przygotowane do brodzenia po kałużach błota, lub po trawach sięgających pasa i ociekających wodą. Położenie zebranych było prawdziwie nie do pozazdroszczenia, a rady na nie nikt znaleźć nie umiał.

— Żeby łódź jaką znaleźć, to możnaby przepłynąć rzekę i koleją powrócić do Paryża. Stacya na drugim brzegu, ztąd nie bardzo daleko — odezwał się głos jakiś wpośród tłumu.

— Łódź!... to wyborowy pomysł! — wykrzyknął młody i silny mężczyzna. — Przed chwilą stojąc nad samym brzegiem rzeki, widziałem coś kołyszącego się naksztalt łodzi, czy też galaru; możnaby się tem doskonale posłużyć. Czy nie wiesz mój chłopaczku, do kogo statek ten należy?

— No i cóż panu przyjdzie z tego, że wiem? — zapytał figlarnie ulicznik, który już zaczął odzyskiwać dawną rezolucję, poprawiając się wygodnie na wysokim swym stanowisku.

— Bo, gdy mi powiesz, to i ja wtedy będę wiedział.

— Dobrze... chciałbym jednak wiedzieć na co się to przyda, bo na samej wiadomości nie daleko pan zajędzie — żartował dalej dzieciak.

— To się dopiero w przyszłości pokaże, a tymczasem, kiedy jesteś taki zazdrosny o swoją wiadomość, to ci może język rozwiąże — zawołał podrzucając w górę srebrnego franka, którego chłopiec pochwycił w powietrzu, z zręcznością młodego orangutana.

— Ha! teraz już powiem, kiedy panu o to koniecznie idzie. Cóż mam robić — wymówił skrobiąc się w ucho, z chytrym uśmiechem — to łódź mojego ojca.

— Tak... więc tem lepiej, zaprowadź mnie do swego ojca.

— To się panu na nic nie przyda, mój ojciec dziś za żadną w świecie cenę nie popłynie — mówił chłopiec, targując się, w nadziei może, iż łatwym sposobem drugiego franka wyłudzi, co mu się przecież nie udało, w tej samej chwili bowiem ostry głos zawołał z wnętrza podwórza.

— Złeż mi natychmiast szkaradny próżniaku. Wiecznie na tym murze drze porządne ubranie, prawdziwe utrapienie z takim ladaco.

Chłopak obrócił głowę w stronę zkad głos się odzywał i przyłożywszy wielki palec jednej ręki do nosa i od drugiej ręki znów gruby do małego paluszka pierwszej, o nos się opierającej, kilka razy poruszył w powietrzu palcami, wykonywając tym sposobem ów osławiony gest francuskiego ulicznika, zwany *pied de nez*. Pomimo to przecież z wielkim pośpiechem zsunął się z muru.

— Obywatelu, szanowny obywatelu — zawołano — prosimy do nas na chwilę.

Na to wezwanie drzwi wchodowe ukryte w murze, otworzyły się szeroko i ukazał się w nich silny, krępy, barczysty człowiek, którego twarz ciemna, spalona od słońca i wiatrów, zdradzała starego marynarza.

— Jestem do usług — odezwał się rubasznie, spoglądając z ciekawością na wytworne towarzystwo, jakby usiłował odgadnąć, czego tak piękne panie i wykwinłni panowie mogą żądać od niego.

— Udajemy się do pana z prośbą, w nadziei, że nas z ciężkiego kłopotu wybawisz — wystąpił poprzednio odzywający się młody człowiek, jako tłumacz ogólnych życzeń. — Dowiedzieliśmy się od tego kawalera, który tu przed chwilą nad nami tak wysoko górował, że obszerna łódź, stojąca nieopodal, należy do pana. Ponieważ zaś spóźniliśmy się i statek już po raz ostatni przepłynął, a ulewa utrudniła nam drogę i tak zbyt daleką do mostu, więc może nas pan poratujesz, przewożąc wszystkich na drugą stronę rzeki.

— Nie, moi państwo, szkoda się próżno łudzić, bo z tego nic nie będzie — szorstko odburknął zagadnięty — rzeka dziś zanadto się rozbrykała, ażeby po niej spacerów próbować...

— Jakto, stary marynarz, gdyż widocznie musiałeś pan być marynarzem i często pływać po morzu, miałby się bać biednej, małej rzeki?!

Staremu człowiekowi pochlebiło to, że się poznano na nim od razu, uśmiechnął się też uprzejmiej i odpowiedział znacznie łagodniejszym głosem:

— No, to i cóż z tego, że byłem marynarzem i niejedną raz w życiu odbyłem podróż naokoło świata, a później przez lat wiele próbowałem szczęścia na własnym rybackim statku, dla tego też właśnie znam się dobrze z wodą i próżno na niebezpieczeństwo narażać się nie mam zamiaru.

Odmowa wywołała szmer i zaniepokojenie w pośród zgromadzonych. Naradzano się, jakim sposobem nakłonić upartego marynarza do spełnienia ogólnego żądania.

— E! przesadzasz pan, niebezpieczeństwo nie może być tak wielkie, a w każdym razie opłaci się. Jest nas tu bowiem sporo osób, a każda chętnie pięć franków za przewiezienie ofiaruje. To wcale ładną uczyni sumkę.

Stary marynarz w milczeniu potrząsnął głową przecząco.

— Nie?... To może się panu wydaje za mało. W takim razie damy po dziesięć — zawołano jednogłośnie. — No cóż?

Marynarz po raz drugi wstrząsnął głową, mruczając niechętnie pod nosem.

— Nie kuście mnie próżno, gdyż nic z tego nie będzie.

Drobny deszcz zaczynał padać znowu. Małe kropelki wody z cichym szmerem potraçały o mokre jeszcze liście na drzewach, spadając na ziemię, lub rozpryskując się o gładkie powierzchnie wody, stojącej w kałużach. Położenie zebranych stawało się coraz trudniejszym. Ciemność zwiększała się z każdą chwilą, wieczór nadchodził.

Młoda i piękna kobieta, w wytwornym, jasnym, z drogocennych koronek stroju, wysunęła się z poza rozłożystego drzewa, w którego cieniu stała ukryta i zbliżyła z pośpiechem do starego marynarza, w chwili, gdy tenże miał zamiar cofnąć się i drzwi zamknąć za sobą.

— Przecież pan nas w takim kłopotcie opuścić nie możesz — zawołała dźwięcznym głosem, choć w dźwięku tym lekki akcent cudzoziemski czuć się dawał, ujmując szorstką i spracowaną dłoń starca w swoje podługne miękkie paluszki. — Noc już się zbliża i deszcz padać zaczyna, do mostu dostać się w takim ubraniu i w takim obowiu, jakie dziś mamy na sobie, jest rzeczą niemożliwą. Cóż więc tu robić będziemy? Miej pan trochę litości nad nami... Ja zwłaszcza jestem sama, z dzieckiem, a mąż w domu będzie umierał z niepokoju, widząc, że nie powracamy tak długo. Jestem przekonana, że każdy chętnie zapłaci po piętnaście franków, a ja za siebie i za synka dam po trzydzieści... po czterdzieści... po pięćdziesiąt nawet. Dla mnie to małą stanowi różnicę, a łaskę mi pan wyświadcysz prawdziwą — nalegała coraz usilniej, nie puszczając jego ręki z swojej dłoni.

Pod wpływem uściśnienia tej ciepłej miękkiej rączki, szorstki marynarz zaczął się wahać i namyślać. Dla biednego człowieka zresztą, tysiąc pięćset franków przeszło, to nie mała suma, zarobek taki nie często się trafia; warto się dlań narażać nawet na niebezpieczeństwo. Oczy jego zajaśniały silnym blaskiem. Chciwość obudzona brała górę nad rozsądkiem.

— Ha! — mruknął po cichu — niech i tak będzie, choć wszyscy źle na tem wyjść możemy.

Przygotowania do podróży nie długo trwały. Kilku olbrzymich, barczystych chłopów wyszło z domu, dźwigając wiosła i ustawiło się szeregiem w łodzi.

— A weźcie sporo wioseł na zapas; w razie potrzeby nie jeden z nas pomódz potrafi — odezwał się ktoś z tłumu.

Po chwili dwie kobiety ukazały się w bramie, zdążając pospiesznie w stronę rzeki. Jedną z nich starszą była żoną, drugą młodszą córką właściciela łodzi. Obiedwie stanęły po dwóch stronach kładki, prowadzącej do łodzi, tak, iż każdy z podróżnych chcąc się dostać do niej musiał między nimi przechodzić, składając opłatę w ręce jednej lub drugiej.

Wśród tłumnie cisnących się jednym z najpierwszych był jakiś człowiek nędznie odziany, szczupły i wybladły. A jednak pomimo, że zgnieciona bluza prostego robotnika wyglądała z pod rozpiętego paltota, rysy jego twarzy były naznaczone piętnem jakiejś umysłowej wyższości, która zadziwić i uwagę każdego zwrócić musiała.

— Jakto *monsieur Ladislas*, czy i pan był na wycieczce dzisiaj? — zapytała zatrzymując go młoda dziewczyna, w chwili gdy chciał składać w jej ręce opłatę.

— Ja? panno Leonio?

Samo przypuszczenie, że mógł brać udział w jakiejś rozrywce, musiało być bardzo zabawne, bo na bladej twarzy młodego człowieka ukazał się uśmiech. Uśmiech ten jednak wbrew jego woli, był jakiś gorzki i bolesny.

— O, ja przecież wiem dobrze, iż pan nigdzie nie bywa i nikogo nie widuje, co nawet jest bardzo źle, podług mego przekonania — szepnęła młoda dziewczyna, a czarne jej aksamitne oczy zamglily się smutkiem, kiedy tymczasem świeżą jak brzoskwinia twarzyczkę ciemny okrył rumieniec — ale pocóż w czas tak niebezpieczny udaje się pan do Paryża?

— Odebrałem przed chwilą wiadomość, że mój przyjaciel, jedyny jaki mi pozostał na świecie, wierny druh w dobrej i złej doli, umiera w szpitalu. Porzuciłem więc robotę i nie przebrawszy się nawet, spieszę, żeby przybyć na czas i konającemu zamknąć oczy... Mnie to już nikt nie odda podobnej przysługi, nie pozostawię za sobą nikogo z bliskich sobie... — dodał z głębokim zniechęceniem w głosie.

Suchy, rozdzierający piersi kaszel, który mu przerywał mowę, zdradzał, że i dla niego wkrótce nadejdzie chwila, kiedy będzie potrzebował podobnej usługi. Młoda dziewczyna milczała przez chwilę zasmucona.

— Pan zanadto pracuje — wyszeptwała w końcu. — Jakże można i w święto nawet nie odpocząć. Przecież fabryka powinna być dziś zamknięta.

— Kiedy są znaczne zamówienia, wtedy na święto nie zwracają uwagi.

— O nie... nie — zawołała Leonia, ściskając lekko rękę, którą do niej wyciągnął, a zarazem odsuwając podawane pieniądze — płacić muszą tylko tacy, którzy się bawią, ale nie pan...

Oczy ładnej dziewczyny były łez pełne.

Do łodzi tymczasem napływało coraz więcej osób. Łatwo było przewidzieć, że podobne przepełnienie groźnem stać się mogło. Gwałtowny dopiero opór właściciela statku, położył koniec dalszemu wciskaniu się coraz nowych przychodniów. Pozostali — dla których zabrakło miejsca, albo też ci, co dla wygórowanej ceny przewozu, próbować nawet szczęścia nie mogli — rozchodzili się, złoścąc losowi.

W pierwszej chwili obawy starego marynarza, wydały się wszystkim zupełnie płonne. Łódź odepchnięta od brzegu silnymi rękami wiosłarzy, pomknęła szybko i w kilka minut znalazła się na środku rzeki. Połowa drogi odbyła się tak szybko, że odwaga wstąpiła w najbojaźliwsze serca. Wkrótce jednak przekonano się, że radość była przedwczesną. O ile bowiem dopłynięcie do środka rzeki odbyło się łatwo i prędko, o tyle dalej posuwanie się naprzód stało się niemal niemożliwem. Gwałtowny prąd wody pochwycił statek, nie myśląc go puścić. Wszystkie wysilenia wiosłarzy, zwróciły się teraz już nie żeby się posuwać naprzód, lecz żeby niepozwoić porwać się fali i nie utracić steru z ręki. Walka była ciężką i nierówną. Rozszalałe fale miały statkiem na wszystkie strony, jakby lekcewały słaby opór, jaki mu ręce ludzkie stawiały. Teraz już i wiosła zapasowe co do jednego rozebrane zostały i każdy ze zdolnych do władania niemi, brał się gorliwie do pracy. Ale wszystkie wysilenia nie osiągały należytego skutku. Łódź unoszona wodą, popychana gwałtownie dmącym wichrem, przytrzymywana — przez pracujących nad tem gorliwie — rzucała się i kręciła, jak słaba łupinka orzecha. Tysiące groziło co chwila niebezpieczeństw, które z wysileniem zwyciężać było potrzeba. Walce tej zaś towarzyszył — jako akompaniament — nieustanny, przeciągły huk grzmotów i oświecał jaskrawy blask migoczących bez przerwy błyskawic.

Teraz, dopiero nieszczęśliwi podróżni zrozumieli, że jedyną ich ochronę stanowi tych kilka nędznych de-

sek, zawieszonych nad przepaścią. Otoczeni ze wszystkich stron groźnym żywiołem, pod niebem zagniewanem i nieprzychylnem, znikąd nie mogli spodziewać się ratunku, cała więc ich nadzieja spoczywała tylko w tej biednej łupince. Od jej losu, ich własny los zależał. Łupinka zaś ciężko skołatana, ugiwała się widocznie pod zbyt ciężkim ciężarem. Spienione fale, rozbijające się z szumem i łoskotem o jej boki, zaczęły się wdzierać do wnętrza. Obciążały łódź wodą i zdawały się wciskać ją w otchłań.

Przestrach i rozpacz nieszczęśliwych nie miały granic. Rzucali się gromadnie, to w tę, to w ową stronę statku, zamiast pomocy przysparzając tylko niebezpieczeństwa.

— Jesteśmy zgubieni!... toniemy, to widoczne... — krzyczano do koła.

Kobiety płacząc załamywały ręce, dzieci krzyczały i szlochały, a mężczyźni przeklinali tych, którym pierwsza myśl podróży do głowy przyszła. Wszystkie złe namiętności, nie krępowane żadnymi względami przyzwoitości i panowania nad sobą, wychodziły na jaw wobec zbliżającego się widma śmierci. Gwar i zgielk, jaki tu panował, zmieszany z łoskotem piorunów i świstem szalejącego wiatru, piekielny jakiś przedstawiał obraz.

Twarz starego marynarza, groźnie zmarszczona, nie wróżyła też nic dobrego. Nie wywnętrzał się on wprawdzie ze swemi obawami, ale rozkazy wydawane krótkim, urywanym głosem, świadczyły o gniewie, jaki nim miotał.

— Wszystkie bagaże do wody! — zawołał nagle groźnie, zwracając się do podróżnych.

Zrozumiano w jednej chwili doniosłość tego rozkazu i z trudną do opisaną skwapliwością zaczęto go wykonywać. Szale, płaszcze, okrywki, parasole, laski, koszyki i rozmaite zawiniątka sypały się zewsząd, z pluskiem zanurzając się w rzece.

Wśród całej wrzawy, zgielku i objawów szalonego strachu, jeden tylko człowiek zachowywał się spokojnie i obojętnie, jakby nie znał obawy, albo żadne nie groziło mu niebezpieczeństwo. Przeciwnie mogłoby się zdawać, że to niebezpieczeństwo, które innych trwoga przejmowało, dla niego jest pożądanem przybiciem do cichej przystani. Siedział na krawędzi łodzi, z głową odkrytą i wspartą na rękę, z utkwionym wzrokiem w przestrzeń, w stronę północy, tak uporczywie, jakby się spodziewał ujrzeć nagle na tle groźnego nieba jakiś obraz, gorącym swem zaklęciem wywołany, a którego już dawno, bardzo dawno nie widział. Muzułmanin nawet bardziej tęsknego spojrzenia w stronę Mekki nie wysyła. Twarz tego człowieka, na której wieku niepodobna było wyczytać, poorana cierpieniem, dziwnie odbijała od poplamionej, niebieskiej bluzy prostego robotnika. Na jasnym, szerokim czole, potężna myśl wycisnęła swe wybitne piętno. Jakaś aureola świętości, czy też cierpienia, otaczała je promiennym blaskiem. W surowych, poważnych rysach odbijała się niezłomna siła woli. Rysy te nie były wcale piękne, lecz wychylała się przez nie dusza szlachetna, która je swym urokiem zdobiła. Tak wyglądać mógł tylko bohater, albo męczennik.

Każda idea, każda wielka sprawa ażeby zwyciężyć, musi znaleźć gorliwych wyznawców, którzy za nią walczą i męczenników, którzy za nią giną, lub też dzień po dniu, godzina po godzinie, z zakrwawionem sercem, ofiarę z swego życia i z swych cierpień na jej ołtarzu składają. Bez ofiar nie ma zwycięstwa. Nieubłaganemu temu prawu podlegała dotychczas każda myśl wiodąca do postępu. — Chrystyanizm nawet potokami krwi utrwalił w sercach ludzkich swe panowanie. — Człowiek ten musiał być jednym z takich męczenników. Lecz za jaką myśl, czy też za jaką sprawę poświęcił swe życie?... któż to może odgadnąć?

Naprzeciw niego, blada i drżąca, stała piękna kobieta, tuląc do siebie z namiętną czułością dziesięcio-



JADWIGA.

FR. ORTLIEB.



NAJŚWIEŻSZY NUMER »ŚMIGUSA«.

letniego chłopczykę. Piękność jej — pomimo zbyt już może rozwiniętych kształtów, psujących wdzięk niegdyś powabnej, wysmukłej kibici — była olśniewająca. Na alabastrowo-białej twarzy brwi jak węglem nakreślone i czarne długie rzęsy, ocieniające wielkie, szare, o zielonawym odbłasku oczy, dziwnie odbijały od jasnych, popielatych włosów. Pięknej twarzy brakło jednak myśli. Podobną była do oblicza posagu, w który rzeźbiarz nie zdołał wlać duszy. Ci dwoje — których los w tej chwili tak bardzo zbliżył do siebie — byli jakby przedstawicielami dwóch odrębnych światów: świata ducha i świata materii. U niego duch wzniosły taką wziętą przewagę nad ciałem, że je zupełnie pochłoniął i unicestwił, u niej ciało rozwieliło się do tego stopnia, że w niem dla duszy nie pozostało już miejsca. Bezwiedny jakiś egoizm, żądza uciech i zabaw, pragnienie użycia malowały się wyraźnie w pięknych rysach kobiety. Świat zaś widocznie nie poskąpił jej niczego. Strój bogaty, wybrany umiejętnie w celu podniesienia i tak już niezwyklej piękności, wskazywał, że dama należy do najwyższych warstw społeczeństwa. Same koronki, okrywające jej suknię — delikatne jak tkanka pajęczna, a z wielką swobodą przez nią noszone — mogłyby nie jednej biednej rodzinie być wygodny zapewnić. Mały chłopczyka, tulący się do niej z przestachem, był ładnym i zadziwiająco podobnym do matki dzieckiem. Marynarska kurtka bez rękawów, z czarnego aksamitu, rozpinająca się szeroko na pąsowej jedwabnej koszuli, stanowiła strój bogaty, trochę teatralny, wyrachowany może na to, aby zwracał uwagę na dziecko... i na matkę.

Jaki mógł istnieć stosunek pomiędzy tymi ludźmi, dwóch odrębnych sfer towarzyskich, pomiędzy wielkoświatową damą i tym nędznym, w wytartym ubraniu robotnikiem?

A jednak, dlaczegoż piękna pani wpatrywała się w niego z tak uporczywą uwagą? — On wprawdzie wcale tego nie zdawał się spostrzegać i błądził ciągle wzrokiem po dalekiej przestrzeni, tak obojętny na wszystko co go otaczało, jakby duch jego uniół się na skrzydłach wiatru, w odległe kraje północy. Cóż go zresztą obchodzić mogła nieznajoma kobieta? Raz nawet, kiedy magnetyczny wpływ — jaki wzrok wpatrujący się bez przerwy w jeden punkt wywiera — zmusił go do obrócenia głowy, oczy jego prześliznęły się obojętnie po postaci strojonej damy, zwracając się natychmiast w inną stronę. Dźwięki dopiero obcej mowy, którą przemawiał mały chłopczyka obudziły na chwilę jego uwagę. Spojrzenie jednak, jakim go obrzucił, było niechętne i niemal wrogie.

— Władysławie! — wyszeptała zaledwie dosłyszalnym głosem młoda kobieta, pochylając się ku niemu.

Drgnął niepewny, z kąd ten głos pochodzi i czy dobrze usłyszał. Czy to było złudzenie, czy też jakimś cudem, pod wpływem namiętnego zaklęcia, obraz którego szukał oczyma duszy o setki mil w oddali, stanął tu wywołany naprzeciw niego. Lecz gdzie się ukrywał? Napróżno szukał go wokoło siebie, nigdzie go nie mógł dostrzedz. Trudno było bowiem, żeby osoba z przepychem, podług najświeższej mody ubrana, mogła przypomnieć skromną, ubogą dziewczynkę, która w każdej chwili życia, ciągle i bezustannie stała mu przed oczami.

— Władysławie! — powtórzyła młoda kobieta.

Teraz już nie mógł wątpić. Z okrzykiem szalonej, namiętnej radości, wyciągnął ręce, chcąc ją przycisnąć do piersi.

— Jadwisiu... Jadwiniu moja... — powtarzał, odchodząc niemal od przytomności.

Nagle jednak opuścił ręce, cofając się w tył gwałtownie i wpatrując badawczo, jakby z przerażeniem, w piękną kobietę i w stojące obok niej dziecko. Myśl straszna, jak rozpalone żelazo, przeszła mu serce.

— Niepoznajesz mnie? — wymówiła spokojnie Jadwiga.

Ale on nie słyszał zapytania, opanowany jedną palącą mu mózg myślą:

— Jakim sposobem to może być ta sama dziewczyna, którą on tam ubogą i opuszczoną zostawił, i... czyje to dziecko?

— Władysławie — odezwała się znów Jadwiga, widząc, że stoi milczący i nieruchomy — dziwnem zrzadzeniem losu, pomimo że drogi naszego życia się rozeszły, spotykamy się jeszcze w chwili, która może być ostatnią naszą godziną. Wiem dobrze, iż masz żal do mnie, jakkolwiek niesłuszny, przysięgam, jednak nie chciałabym umrzeć z gniewem twoim na sumieniu. Jesteś dobry i szlachetny, więc nie wątpię, że przebaczysz urazę jaką mieć możesz... ale to nie dosyć — zawołała wyciągając do niego ręce — ja przychodzę cię błagać, żebyś ocalił moje dziecko.

— Twoje dziecko... więc to twoje dziecko! — wykrzyknął z uniesieniem — ale w takim razie, któż jest ojcem tego dziecka?

Na dźwięk nazwiska które wymówiła, a które było mu najbardziej nienawistne na ziemi, rzucił się ku niej z nieopisanym wybuchem szalonego gniewu. Zamglone i zmęczone przed chwilą oczy, ciskały teraz olśniewające błyskawice. Zdawało się przez chwilę, że w przystępie obłędu, czy wściekłości, rozszarpie tę kobietę — zamorduje. Trwało to jednak chwilę tylko. Musiał posiadać żelazną siłę woli, uspokoił się bowiem i odstąpiwszy o parę kroków, spuścił głowę, jakby się wstydził okazanej słabości. Straszna jednak walka musiała wrzeć w jego piersiach, bo stał długo drżący i śmiertelnie blady.

— Tyś mi zadała cios ostatni — wymówił wreszcie po długim milczeniu głosem bezdźwięcznym, zbłądłymi i drżącymi jak w febrze wargami. — Dotychczas nic jeszcze na ziemi nie było w stanie złamać mej odwagi, ani jej ugiąć. Zniosłem wszystkie cierpienia i wszystkie straty. Szedłem naprzód z czołem w górę wznieścionem pomimo przekonania, że mnie zdradziła i odstąpiła rodzina, pomimo tęsknoty trawiącej mi serce za ojczystymi stronami, pomimo ogołocenia z majątku, pomimo poniżenia i głodu. Nie zaparłem się swoich ideałów wtedy nawet, kiedy nadeszła straszna godzina, w której się przekonałem, że praca całego mego życia poszła na marne, że na nic wszystkie poświęcenia i wszystkie ofiary, że wreszcie postradałem wszystko, co człowiek na świecie postradać może. Na dnie duszy mojej bowiem przechowywała się zawsze, jak iskierka w popiele, nie-
wygasła wiara w twoją miłość. Ona to przyświecała mi jak gwiazda przewodnia kiedym wątpił i upadał, wskazując cel do którego mam dążyć. W niej czerpałem siłę i otuchę, że i dla mnie kiedyś chwila szczęścia i nagrody nadejdzie... A ty niedość, żeś zniweczyła ostatnią nadzieję, niedość żeś złamała wszystkie przyrzeczenia i przysięgi, ale...

Gwałtowny napad suchotniczego kaszlu przerwał mu mowę.

— Więc ośmielisz się powiedzieć, że to ja nie dotrzymałam przysięgi — podchwyciła Jadwiga z uniesieniem. — Więc to moja wina, że dla mrzonek, których nigdy zrozumieć nie zdołam, zmarnowałam całe swoje życie i chciałam zmarnować moje. Może i temu jestem winna, żeś rzucił majątek, z czego rodzeństwo twoje skwapliwie skorzystało, rozbierając go między siebie, że się tułasz po świecie bez dachu i kąta, żeś mnie porzucił bez skrupułu, wydał na pastwę nienawiści i szyderstwa swych krewnych, którzy zawsze niechętnie patrzyli na to, że się z ubogą chcesz żenić dziewczyną. Któż więc z nas dwojga pierwszy złamał przysięgę?

— Pisałam przecież do ciebie błagając, żebyś smutny los jaki mnie spotkał, przyjechała podzielić — odparł Władysław.

Piękna kobieta wybuchnęła szyderczym śmiechem.

— Najpierw list twój odebrałam zapóźno, kiedy już byłam narzeczoną innego. Powtóre zaś, czy doprawdy przypuszczałeś choć na chwilę, że ja przybędę na podobne wezwanie? Czy nie pamiętasz, jak mi życie pędzone w nędzy i niedostatku obrzydło? Miałam go dosyć przez całą młodość, postanowiłam więc za jakąbądź cenę wydobyć się z smutnego położenia. Poznaliśmy się wtedy właśnie... pokochałam cię... Byłeś młody i bogaty. Dziedziczki rozległych posiadłości z zazdrością na moje szczęście spoglądały, pragnąc mi twoją miłość odebrać. Ale ja wierzyłam twoim przysięgom ponawianym codziennie, że mnie jedną tylko kochać będziesz w życiu, że mnie otoczysz wygodą i zbytkiem, że całych sił użyjesz, żeby przeszłość z mojej pamięci wymazać i całe życie w jeden raj mi zamienisz, żartowałam więc sobie z ich zabiegów i z ich nienawiści. Ty zaś, w jaki sposób dotrzymałeś swojej przysięgi? Oto zostawiłeś mnie samą, opuszczoną, bez doświadczenia i bez pomocy, nie umiejacą dać sobie rady, nie wiedzącą dokąd się schronić i co począć... Ileż to obelg i przykrości znieść byłam zmuszoną od twojej własnej rodziny. Mścili się nad bezbronną za to, że śmiała zuchwale podnieść oczy na skarb przez nich upragniony. Czy jeszcze i teraz dziwić się będziesz, że gdy w tak ciężkich dla mnie chwilach zjawił się człowiek posiadający władzę i majątek olbrzymi, ofiarujący mi pomoc i opiekę, pochwyciłam skwapliwie wyciągniętą do mnie rękę z taką wdzięcznością, jakbym nagle ujrzała anioła-pocieszyciela... Cóż zatem na żądanie twoje mogłam odpowiedzieć?... Nie mój drogi, ja nie byłam bohaterką, nigdy nie marzyłam o ofiarach, poświęceniach i ideałach, nie czułam się więc zdolną do życia, jakie chciałeś mi zgotować. Przeciwnie, goniłam za czem innym. Potrzebowałam użyć młodości. Pragnęłam się bawić, stroić, być podziwianą, uwielbianą, otoczoną, błyszczeć i królować w salonach; od tego wszystkiego zależało moje szczęście. Byłam piękną, bardzo piękną. Piękność zaś, jest to dar, którego tak samo jak i innych zmarnować nie wolno. Przy tobie zagrzebana na cóż by mi się ona przydała. Los mi wszystkiego oprócz niej odmówił... i zdolności i chęci do pracy. W dzieciństwie uczyć się nie chciałam, a do zatrudnień ręcznych, miałam wstręt nieprzewyciężony... Więc pytam się, jaki w twym położeniu mogłeś mieć ze mnie pożytek... Spójrz tylko uważnie, czy ręce takie jak moje stworzone są do pracy?

Śmiejąc się ironicznie, podniosła do góry rączkę maleńką, miękką jak aksamit, olśniewającej białości. Na cienkich paluszkach migotały brylantowe iskry, rozrzucające przy bładem świetle błyskawic jaskrawe ognie o barwach tęczy. Kobieta wyjawiająca otwarcie swe przekonania, graniczące niemal z cynizmem, wydawała się nieszczęśliwemu człowiekowi istotą potworną i wstrętną. On, którego życie całe spłonęło na stosie ofiarnym, napelniając mu duszę uczuciem jakiejś bolesnej rozkoszy, czuł się upokorzonym, przybitym do ziemi fatalną, popelnioną niegdyś omyłką, która serce jego przykuła do istoty tak niskiej. Z ukrytem w dłoniach czołem, które się okryło rumieńcem wstydu, stał z głową pochyloną do ziemi, szepcząc rozpaczliwie:

— Co mnie zaślepiło, jak mogłem kochać ją tak gorąco!? W tak pięknym ciele, taka nędzna dusza!...

Zapomniał biedny, że zawód doznany z jego własnej tylko pochodził winy, znalazł bowiem to tylko, za czem gonił. Olśniony pięknnością kształtów, nie chciał badać, czy w nich równie piękna mieści się dusza. A piękno fizyczne niestety, tak rzadko z pięknem moralnem chodzi w parze. Przeciwnie zdawałoby się, że przyroda z troskliwą pieczołowitością rozdziela te dary, brak jednego, starając się drugim nagrodzić sowingie.

— Dlaczegoż oszukiwałaś, i kochając tylko moje pieniądze, udawałaś że mnie kochasz? — zawołał Władysław z ponownym wybuchem gniewu.

Jadwiga obojętnie wzruszyła ramionami.

— Przypomnij sobie, że nie ukrywałam wcale przed tobą, jak wiele mi zależy na tem, żeby być bogatą i jak bardzo lękałam się nędzy. Wtedy jednak nie wydawało ci się to wcale rzeczą zdrożną i dopomagałam mi skwapliwie do układania rozlicznych planów na przyszłość. Mylisz się też, posadzając mnie o fałsz i udanie. Kochałam cię prawdziwie, szczerze... ciebie tylko kochałam w życiu. Za mąż wyszłam bez przywiązania, przejęta jedynie głęboką wdzięcznością dla człowieka, który mnie wyrwał nędzy i poniżeniu. Wdzięczność tę przechowałam do dnia dzisiejszego za rozkoszne życie, jakim mnie otoczył, dotrzymując więcej, o! wiele więcej, niż mi przyrzekał. Nie ma też rzeczy, którejbym mu odmówiła, lub nie wykonała na jego żądanie. Dla niego zmieniłam wiarę, lubię to wszystko co on lubi, otaczam się tem co mu robi przyjemność. Widzisz więc, że żal twój do mnie, nie ma żadnej podstawy, że sam tylko z własnej winy zmarnowałam życie... a jak je strasznie zmarnowałam! — dodała spoglądając z pogardliwą litością na wyszarzany i ubogi ubiór Władysława. — I powiedz mi jaka może być korzyść z tego, że się wzięłaś do niewłaściwej dla siebie pracy, że żyjesz samotny, opuszczony i przez wszystkich zapomniany. A posiadałaś przecież wszystko, co szczęście prawdziwe zapewnić może: piękność, młodość, majątek, miłość i przyjaźń ludzką i porzuciłaś to wszystko dlaczego?... Nigdy nie mogłam zrozumieć, co cię popchnęło do tak szalonego kroku. Powiedz, co cię zniewoliło do tego?

— Obowiązek! — wymówił Władysław surowym głosem — ale ty tego nie potrafisz zrozumieć.

Nieszczęśliwy czuł się przybitym i ogłuszonym, jak człowiek, którego nagle uderzenie powaliło o ziemię. Pomimo nadludzkich wysiłków, nie mógł odzyskać równowagi umysłowej. Wobec gromu, jaki w tej chwili weń uderzył, niczem mu się wydawały wszystkie walki, które staczał dotychczas, niczem ofiary bezmierne, krwawiące mu serce, a ponoszone w nadziei, że krew płynąca z serca użyźni grunt idei i da jej zwycięstwo. Jak rozrzućnik bez żalu szafował dotąd wszystkimi swymi skarbami, ale tej jednej ostatniej własności — rozczarowanie nie po-

winno mu było wydzierać. Chciał więc już za to przeklinać świat, który mu nawet uznaniem i zachętą nie zapłacił za zrzeczenie się wszystkich osobistych rozkoszy, za życie pełne poświęceń dla dobra ogółu. Lecz w której stronę miał gniew swój zwrócić? Wszak sam był tylko winien! W duszy tej kobiety nie musiało być nigdy struny tak wysoko nastrojonej, żeby mogła zadźwięczyć wzniosłymi uczuciami, przepełniającymi jego piersi. Żadna nie sympatyczna serc ich łączyć nie mogła. Nie... pomiędzy nimi nic wspólnego nie było... Szczęściem dlań że los ich rozdzielił. On się piał ku górze, na szczyty; ona byłaby go ciągnęła w ziemskie błoto na dół. Dla czego jednak ją właśnie pokochał. Tyle jest przecież szlachetnych serc kobiecych, wzniosłe pojmujących obowiązki życia, zdolnych do poświęceń, idących tą samą co i on drogą, a on serce swoje oddał w ręce takiej, która je zdruzgotała... Rozpacz go ogarnęła, szła jakiś mięszak zmysły...

HELENA KOSSOBUDZKA.



Z TEK I SZKICÓW.

kto bez winy, niech pierwszy rzuci kamieniem. Jeśli zgrzeszyłam, to jednak złą nie jestem... zawsze byłam dobrą matką... miłość dla mego syna nauczyła mnie, co znaczy obowiązek i poświęcenie. Ot i teraz dla niego robię to, czego bym nie zrobiła dla siebie... błagam cię — wołała wyciągając do niego ręce — ocal go, ty jeden to zdołasz. Wiem, że pływasz wybornie... że nikt tam u nas z tobą nie mógł iść w zawody. My zginiemy... a dla ciebie będzie igraszką ocalić siebie i dziecko moje...

Pewna, że prośbie dziecka nikt oprzeć się nie zdoła, popchnęła je ku niemu. Ale myśl sama, że chłopczyzna dotknąć się go może, zmieniła obłęd, który ogarniał umysł Władysława, w szła prawdziwy.

— Idź precz!... idź precz!... nie przysuwaj się!... — wołał namiętnie, wyciągając ręce w stronę przestraszonej kobiety, jakby chciał odepchnąć groźny jakiś napad.

Gwałtowne wstrząśnienie, jakiego łódź doznała z powodu nagłego przypływu, mogło w skutkach okazać się zbawiennym dla biednych rozbitków. Woda rozlewająca się z gwałtowną szybkością po płaskich wybrzeżach, sprzyjała wytężonym wysileniom wiosłarzy, pragnących wydobyć się z pod władzy prądu, który ich trzymał na środku rzeki w jednym wciąż miejscu. Walka z falami trwała bez przerwy. Niebezpieczeństwo nie zostało jeszcze zażegnane... jednakże... słaba otucha zaczęła wstępować w serca przewoźników.

— Gdyby w jaki sposób ochronić się od wody, która się wlewa do łodzi — mruknął jeden z nich za plecami Władysława — i uwolnić statek od zbytecznego ciężaru, to byśmy się jeszcze może wydobyli z biedy. Ot żeby choć jeden z nas wpadł do wody, to by zawsze lepiej było...

Piękna kobieta tymczasem stała przez chwilę zamysłona, jakby zakłopotana tem co usłyszała. Nowe pojęcia i nowe myśli nie mogły znaleźć przystępu do jej umysłu. Wreszcie potrząsnęła głową przecząco.

— Nie, to trudno, ja się twojemi zapatrywaniem przejąć nie mogę. Nigdy nie mogłam uwielbiać szaleńców, których historia bohaterami nazywa. Bo proszę cię, co mnie może obchodzić forma rządu, albo kto kraj rodzinny objął w posiadanie, byle tylko mnie z tem dobrze było. Głową muru nikt nie przebije; lepiej pogodzić się z tem co już spełnione. Wedle mego pojęcia, człowiek ma tylko jeden obowiązek na ziemi: nagromadzić jak największą sumę szczęścia dla siebie i dla swoich ukochanych, reszta obchodzić go nie powinna. Nie byłoby tyle nieszczęść prywatnych i publicznych, gdyby wszyscy podobnie do mnie myśleli, nie dając się porywać szalonym marzeniom, które niemal zawsze porażką się kończą. Nie myśl jednak...

Okrzyk trwogi nieszczęśliwych rozbitków, na widok nowego niebezpieczeństwa, zmroził jej słowa na ustach.

— Toniemy!... toniemy... nie ma ratunku! — wołano z przerażeniem.

Rzeczywiście, wylew rozszerzał się nagle. Woda nadpływająca z góry z szalonym pędem podnosiła się gwałtownie, pchając z błyskawiczną szybkością łódź ku arkadom mostu, który już widać było w oddali. Nic ich od śmierci ocalić nie mogło. Woda, która poprzednio sączyła się powoli do wnętrza łodzi, teraz dostawała się do niej coraz częściej i gwałtowniej, zanurzając i tak już przeciążony statek.

Na rozkaz marynarza wszyscy rzucili się z pośpiechem do wyczerpywania wody, posługując się kapeluszami i czapkami. Niektórzy czerpali ją rękami, jakby ta praca Danaid mogła się na co przydać. Strach odbierał wszystkim zmysły.

— Władysławie — zawołała Jadwiga rozpaczliwie, tuląc do siebie płaczącego syna — nie wiem już wreszcie, kto z nas dwojga bardziej zawinił. Nie czas obecnie dochodzić... może ja... sama nie wiem... ale

Piękna kobieta, nie zrażona szorstką odmową Władysława, jedną tylko opanowana myślą ocalenia życia jedynakowi, choćby kosztem własnego życia i własnej godności, błagała dalej gorąco:

— Miej litość Władysławie! Nie odmawiaj ostatniej prośbie umierającej. Jestem przekonana, że los nam dla tego pozwolił się spotkać w tej strasznej chwili, żebym musiała błogosławić cię w godzinie śmierci. Wiem, że jesteś szlachetny... Dla obcego zrobiłbyś to chętnie... nie mścij się więc na dziecku za przewinienia matki... — mówiła błagalnie, chyląc się do jego kolan.

— Ustąp się! — zawołał rozkazująco.

I nim piękna kobieta, która usunęła się przerażona, zdołała odgadnąć co zamierza, już ciało nieszczęśliwego zniknęło w nurtach spienionej rzeki. Kilka tylko kół szerokich na powierzchni wody, zdradziło miejsce, w które się pograżył. Wzburzone fale zatarły w mgnieniu oka wszelki ślad po nim, kryjąc w sobie tajemnicę myśli ostatniej, która go popchnęła w otchłań spienioną. Czy było to jeszcze jedno poświęcenie dla gorąco niegdyś ukochanej kobiety, czy też opanował go taki wstręt i zniechęcenie do tego świata, który go odarł z wszystkiego, nic w zamian nie dając, że już i chwili dłużej żyć nie czuł się na siłach?

MARYA JARMUNDÓWNA.



J. KOLLAROWI

WIESZCZOWI ODRODZENIA CZECH.

Gdy lud Wasz wielką rocznicę dziś święci,
Ja, polski pieśniarz, idę do Was w gości
Oddać hołd wieszczu Waszego pamięci
I w cichem święcie sławiańskiej jedności
Wraz z Wami sercem udział wziąć pospołu,
Przy uczcie duchów, u wspólnego stołu.

Przed bohaterem, który w bój bezkrwawy
Prowadził naród, budząc go do życia,
I z tej uspianej, pięknej Córki Sławy,
Zbutwiałe grobu otrząsał spowicia,
Z pokorą swoje uginam kolano,
Wpatrzony w zorzę geniuszu świetlaną.

Przed wodzem, który wówczas stał na straży,
Gdy mrok niewoli ómił wzrok ludu wszędzie,
I białogórskich podjął pieśń cmentarzy,
I kształcił śpiewne języka narzędzie,
Przed ojcem pieśni wiodącej do czynu,
W imieniu Polski składam liść wawrzynu.

Bliższym jest bowiem dla polskiego serca
Ten, który skupia — niż ten, co rozprzega,
Droższym, kto wskrzesza — niż ten, co uśmierca —
I żadna władców światowych potęga,
I żadna chwała równać się nie może
Z tą, co ludowi nową niesie zorzę.

Cześć śpiewakowi! który w śnie proroczym
Czuł, że z letargu cały naród wskrzesi,
Cześć hetmanowi! w którego ślad kroczym
Ku odrodzeniu z Wami, bracia Czesi!
Przez trud pokoleń i duchów torturę,
By oswobodzić piękną Sławy Córę.

O Córko Sławy! zostań wierną sławie,
Tej nieskalanej łzami i krwią cudzą,
Niech cię kroczące zwycięzko bezprawie,
Ani wszechwładztwa pokusy nie łudzą.
Szukaj natchnienia i sił w samej sobie,
I w tej przeszłości, która żyje w grobie!

Idź raczej z tymi, co cierpią i walczą,
Nie chcąc zatracić samobójczo ducha,
I stać się tłuszcza helotów służalcza,
Nad którą dziejów noc zapadnie głucha, —
Nie z tym olbrzymem, co krocząc zuchwały
Wszystkie ludzkości depcze ideały.

Przyjdzie czas, w którym wypełnią się jeszcze,
Tylko w zmienionej przez dzieje postaci,
Waszego piewcy te natchnienia wieszczce
O świętej zgodzie wśród sławiańskiej braci.
Skryste marzenia czas urzeczywistni:
W objęcia sobie padną nienawistni!

Gdy prąd duchowy, co kajdany łamie,
Wszystkich podniesie i usamowolni,
Wtedy staniemy do ramienia ramie,
Równi z równymi i z wolnymi wolni!
I Sławiańszczyzna cała, silna, młoda,
Przy bratniej uczcie ręce sobie poda.

EL...Y.

Z ANTOLOGII »MŁODEJ BELGII«.

I.

EMIL VAN ARENBERGH *).

DO OCEANU.

Posepny Oceanie! jeśli człowiek wtórzy
 Czasem pieśnią ulotną twych skarg wiecznych burzy,
 Czy myślisz, że łkań twoich nikt z nas nie ma w sobie,
 I że rozpacz jest tajnią, w twych fal skrytą grobie?
 Orkany ludzkie wszędy z twemi walczyć mogą
 Swych szalów, rozbić, żalób bezmyślnością srogą;
 Głosy otchłani dziko i z serc naszych krzyczą,
 Gorycz twa jest tą samą łez naszych goryczą.
 Jako nam, tak i tobie Bóg rzekł: »Cierp!« — i musisz!
 Żywcem zamknąć się w trumnę głębin, gdzie się dusisz,
 I dla tego to toń twa, gdzie trup trupa żenie,
 Wyrzucając je, sobie bierze ich rzeźnienie!
 O bracie Oceanie, z naszej tyś jest gliny!
 Co wyjesz wiekuiście przez ziemskie dziedziny
 I co Bóg odpowiada twej wścieklej topieli,
 To w przepastnych serc głębiach i myśmy słyszeli;
 Bo i my mamy w sobie jedynie bezdenie,
 Człowiek zna większe bunty, niż twe wśród skał wrzenie,
 I, jak ty, żyjąc przez to, co śmiercią jest rzeczy,
 Cierpi boleść, na którą żaden lek nie leczy!
 Jako lampa grobowa wśród krypty głębokiej
 Jednaką światłość miota na wszystkie wkrąg zwłoki,
 Dusza i ty — jednakiej ból znosicie mocy.
 Oboje się toczycie wśród grozy i nocy:
 Obojga fala trupy w swej goryczy tai,
 Zawsze w pianach broni się wścieklej wichrów zgrai,
 A gdy rozbita spada, mrąc już w brzegów cieśni,
 To — aby trysnąć wyżej i jęknąć boleśniej!
 Oceanie, — nieszczęsny, wzniosły Oceanie!
 Szarpiesz się, a żdźbła liche cicho śpią na łanie,
 Ból — twą sławą, twem pięknem, twem prawem, twym
 [królem!
 Dusze cię zrozumiały, bo twój ból — ich bólem:
 Gdybyś nie był bez granic, nie znałbyś skarg, żali!...
 Jeśli w niebo wciąż grzmocą szaty twojej fali,
 Jeśli oboje z duszą, wiecznie, bez powodu,
 Jęczycie wśród lazurów cichego obwodu,
 Ach! to — że wciąż szukacie swych źródeł odwie-
 [cznych,
 Kędy opadną skrzydła ziemskich wichrów sprzecznych,
 Kędy fale obojga, w toni tajemniczej
 Morza bez raf, przepaści, zbęda się goryczy.

WSPOMNIENIE.

O wiosno! pierwsza schadzko! chwilo nad chwilami!
 — Na starym moście z głazów, co już wpół się wali
 Pod naciskiem traw, chwastów, — zwykle się schadzali,
 I zwali to: »u siebie«, czując się tam sami.
 Wietrzyk, jak oni, dyszał słodkimi woniami;
 Oni, marząc, patrzyli na bieg rzecznej fali,
 Migoczącej pod słońcem blaskami opali,
 I na dno, które światłość w złote punkty plami...
 Rozmawiali pocichu, nie słysząc się wzajem:
 Wszystko znaczyło: »kocham« — i brzmiało im rajem.
 W ich sercach rozświtowe były to świegoty.

Dziś on marzy sam (ona odeszła jak wiosna),
 Że już kochać nie będzie, że pył wonny, złoty
 Jego duszy jej nóżka starła bezlitosna.

ŚREDNIOWIECZE.

W komnacie, przed ogniskiem, co błyska z komina
 I drgającymi plamy sprzęt miedziany plami,
 Kasztelanka, w marzeniach tonąc, zapomina
 O swej harfie, kądzieli i skrzyni z książkami.

Marzy o swym baronie, co odszedł za morze
 Bić niewiernych — niechaj go patron święty broni!
 Ona, biedna, czeka go — i w tej zmroku porze
 Błądzi okiem po śnieżnej, księżycowej błoni.

Wtem chart jej smukły trwożnie zawył na uwięzi,
 A ona w szumach wiatru, co w kominie płasa,
 Słyszy, jak się Nieczysty z modlitw jej natrzasa...

Potem rzeźnienie krótkie... I tam, na gałęzi,
 Gdy ona tu do Boga łka o litość w zgrozie,
 Chłop, powieszony wczoraj, tańczy na powrozie.

WEZUWIUSZ.

Wezuwiusz, jak w zwierciadle błękitnem, odbija
 W morzu swój kask złocisty z długą dymów chmurą;
 W czarnym tym pióropuszu lśni jak krasne pióro
 Tryskającej wciąż lawy płomienista żmija.

Poeta jest jak wulkan, samotny bohater:
 Tam w dole tłum się bawi u fal śpiewnej toni,
 W powietrzu pełnem światła, miękich tchnień i woni,
 I pyta, na co komu ten jałowy krater.

On — z rykiem w niebo wznosi czoło rozorane;
 Wiecznie krwawiącą czuje na swym boku ranę,
 Czuje, że mu do samej ona sięga głębi.

Lecz nagle, otworzywszy się w mroku, co pierzcha,
 I rozdarłszy pierś, gdzie się żar i popiół kłębi,
 Dumnie rozpala słońce, gdy wkoło się zmierzcha.

DE PROFUNDIS.

Na dnie otchłani, z kąd w mroku bez końca
 Jęk wieczny bije przez czasów przestrzenie,
 Ocean żywych wije się, roztrąca,
 A wiatr unosi w próżnię jego wrzenie.

Od spadających weń w tył fal tysiąca
 Ten przypływ ludzki wzrasta niezwalczenie;
 Z opadłej fali nowa fala grzmiąca
 Wstaje — i wyżej tryska w mroczne cienie!

A gdy na stoki przepaści ponure,
 Pieniąc się, rzeżąc, ludzkość drze się w górę,
 Jak fala morska, co wzbiera zdaleka,

*) Jeden z uczestników »Parnasu Młodej Belgii«. Urodził się w Louvain d. 15 maja r. 1854. Drukował wszystkie utwory swoje w czasopiśmie *la Jeune Belgique*. Większy cykl ich ogłosił we wspomnianej wyżej antologii młodych poetów belgijskich (1887). Osobnego zbioru poezji nie wydał. Poeta wysokiego polotu i wielkiej głębi myślowej. Forma jego tchnie spokojem majestatycznym. Prozą napisał dwa dzieła: *Don Juan d'Autriche* i *Charles Quint*. Pełni obecnie urząd sędziego pokoju w Diest. Rzadko się już odzywa — i to z pewnym bólem. (Por. dwa ostatnie sonety).

Tam, nad urwiskiem, w świtów różności,
Na krzyżu, zbudzon jękami ciemności,
Chrystus objęcia otwiera — i czeka!

STABAT.

Jezus konał. Na drzewie zelźwym rozbity,
Rozwartemi ramiony siał w krąg przebaczenie,
A gdy, padając duchem, krzyk rzucił w błękity,
Wielkie drgnienie rozdario ziemię aż po rdzenie.

I noc, niby grób czarny, jęła chłonać w cienie
Trup słońca, upowity w płomieniste świty;
A męczennik, opuszczon i sam nieskończenie,
Uczuł, że serce jego mrze w sercu kobiety.

O Boże, wówczas, gdy ci grom wypadał z ręki,
Gdy w Chrystusie sam czuleś bliskiej śmierci męki,
Co tryumf miała odnieść nad tobą nietrwałą,

Rzec-że możesz, co w zbawczej na twych szalach treści
Zaważyło potężniej brzemieniem boleści:
Krew Syna, czy łzy Matki bólem skamieniałej?

ZAWSZE.

Podczas gdy ty, chwilowe zagoiwszy rany,
Wesoło pędzić będziesz dni jasne, łaskawsze,
Ja pójdę sam, unosząc w duszy skołatanej
Pierwszej mojej miłości zwłoki coraz krwawsze.

Lecz jako ów rozbitek, miotan przez orkany,
Rzuca krzyk w niebo głuche, od gromów jaskrawsze,
Zanim zniknie w pomroce nocy niezbadanej, —
Gdy ty mówisz mi: nigdy! jeszcze wołam: zawsze!

Ja tak kocham, i chociaż odchodzę bez żali,
Choć nic już z mego serca w twego nie drga fali,
Nie zgasi w mej świątyni ognia burza sroga:

Zwieje popiół, a płomień roznieci znów jasny!
— Ponieważ mi stworzyłaś duszę z duszy własnej,
Usta nasze na ustach spotkają się Boga.

SONET LISTOPADOWY.

Zmrok jesienny ma ciszę solenną kościoła;
Tuż pod księżycem, Wenus, we mgłę kadzidelnej,
Błyska, jak przed monstrancją płomyk nieśmiertelny;
Coś wielkiego, słodkiego coś kona dokoła.

Drzewa, podobne mnichom u zwłok czuwającym,
Mrą same, rzeźą psalmy ledwie dosłyszalne;
Chude ich pnie się wznoszą, jak ręce błagalne,
Liście bez szmeru leca, jak łzy, deszczem drżącym.

Podczas gdy z widnokregu, szerząc swe zasłony,
Noc wstaje i otula bezgranicze śpiące,
Niby całun trumienny, gwiazdami łzawiony,

Tam w dali, niebo, tracąc duszę swoją, słońce,
Jak trup świetlny, powoli zlewa się, rozkłada...
— I już nad barwnem ciałem krążą kruków stada.

WYRZUT SUMIENIA.

Kain pierzchał — a głosy biły z nieb sklepienia,
Przerażając mu serce, wciąż wrażliwsze w męce;
Czuł w wietrze, co mu zewsząd niósł zgonów rżenia,
Niezbłagane, pchające ku wygnaniu ręce.

Pierzchał — a łkania, klątwy i szyderstwa gwarnie
Ścigały go we wrzeniu mórz, puszczy tajemniczym;
Pierzchał — słuchając trwożnie, jak chmur dzikie psiar-
[nie

Warczały nad nim w górze pod piorunów biczem.

Pierzchał — i twarz skrył nagle w bojaźni straszliwszej,
Gdy słońce, przestrzeń całą mordem zczzerwieniwszy,
Runęło krwawą głową w głąb mroków potoku;

Zdało się, że strop niebios, zbryzgany śladami
Zbrodni, znowu Kaina krwią ofiary plami...

— I wyklęty znów pierzchał, krwawy cały w zmroku.

SONET.

O serce me, znużone zwątpień, pragnień bojem,
Los nie zdołał cię ugiąć, znękał cię jedynie;
Ukryj wyniosłe ból swój przed ciekawych rojem,
Jak zwierz ranny, co w gąszcz się chowa — i tam ginie.

Niech żywi, pod żelazną ręką Fatalności,
Wyją, jęczą, śpiewają, w torach dróg się tłoczą;
Ty — nad ich próżne gwary, boleści, radości —
Wznies swe wielkie milczenie, pogodę przezrocza.

I zamknij odtąd dumnej samotni swej progi
Wszystkiemu, co maciło ci mir: bądź podobne,
Z bieli dziewiczej, ciszy i światłości błogiej,

Szczytom gór, co — w słoneczne, śnieżne kaski zdobne —
Wianie Boga jedynie czują wkrąg wierzchołów,
I — ciche tam — burz wycia mają u padołów!

ROZBITEK.

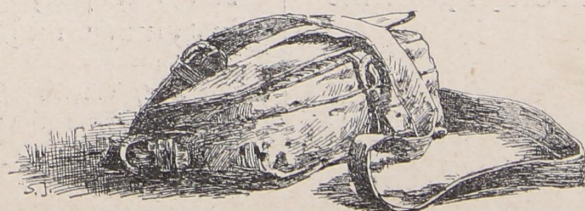
Dziś, gdy zdala od szczęsnych zatonałszy ładów,
Jestem już tylko trupem, wleczonym przez fale,
Unoszę swe milczenie przez grzmiące ich żale,
Swoją mir wieczny — wśród wiecznych uraganu prądów.

Cóż z tego, że port żaden nie czeka mię w gości
Za raf murem, za gorzkiej bezdni tajemnicą!
Śmiech nicości wykrzywia martwe moje lico —
I wnet się już rozplynę w morz nieskończoności.

A podczas gdy nademną chmurne wód roztocze
Zwarły swych płynnych mroków zwoje nieprzezrocze,
— Tam w górze, na powierzchni, gdzie dnia blask się
[śmieje,

Korabie rące biegną, skrzydlone w marzenia,
I, ku skarbowi wybrzeży dążąc bez wytchnienia,
Pod wszystkimi niebiosy ściągają nadzieję.

Przełożył z francuskiego MIRIAM.



PIERWSZA MIŁOŚĆ ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Po teatrze, kończącym się przed dziesiątą, wstępował najczęściej do księżnej Lubomirskiej, dawnej swej, jeszcze z czasów rzymskich, jak wiemy, przyjaciółki i powiernicy. »Ona mnie częstuje biskoptami z wodą, ja jej sztuki, które widziałem, opowiadam. Zgromadzenie zawsze liczne nas otacza: cztery ściany, piec piąty, dwie szafy, dwa stoliki, pół tuzina krzeseł, a w przedpokoju dwór zgromadzony czeka aż wyjdę, by szlafmycę włożyć na głowę i do szlabana wleść«. Obfitszego stokroć, aniżeli teatr, dostarczało im tematu do rozmowy życie i cechująca je tragicomiczna gmatwanina: wyjazd Danielewicza¹⁾ do Białocerkwi, spowodowany śmiertelną chorobą ojca i przybycie jego już po pogrzebie; trudności w wydostaniu z klasztoru Maryi Sołtanówny; niepokój o zdrowie hr. Wincentego Krasińskiego; niemożność uczynienia zadosyć nieustannym jego naleganiom i prośbom, wynikającym z chęci ożenienia jedynaka, czemu jeżeli nie stawał już opór Zygmunta na przeszkodzie, to były inne względy, stokroć drażliwszej natury, które mu nie pozwalały stanowczo zastosować się do woli rodzica.

Pani Bobrowa! Gdyby nie obowiązek, jaki miał dla niej, i przeświadczenie, że musi jej wierności dochować, że liczyć się z nią trzeba koniecznie, gdyby nie to, kto wie, możeby nawet przystał na związek, jaki mu proponował ojciec; bo »panna piękna, jak anioł, ślicznie ułożona«. Wszystko w niej zapowiadało dobrą żonę, »i tok umysłu, i przyroda, i wychowanie«. A przytem »talent do muzyki, jaki się tylko natchnionym trafia artystom«.

Obcując z nią, czuł, że byłby w stanie »ukochać szczerze tę młodą duszę i na wieki²⁾, gdyby się z nią »życiem swoim zjednoczył« i że byłby »i błogosławiony, i szczęśliwy, i spokojny tym ducha wielkim pokojem, który już na ziemi jest początkiem wieczności. Szczęście albowiem niebios tem zapewne tylko różni się od tutejszego, że pojęte w pokoju, a zatem w nieskończonej trwałości; lecz ta różnica jest różną od mijających uniesień, różną na całą długość i szerz, dzielącą ziemię od nieba«. Czuł, że w pożytcu z tą »idealną« istotą znalazłby kojące lekarstwo dla »duszy swojej, zanadto drażliwej i zanadto przed czasem znękanej...« Grałaby mu na fortepianie, jak teraz Danielewicz, i żyłoby szczęśliwie, jak dwoje aniołów. Zważywszy to wszystko, widział, że »ogromne głupstwo« robi³⁾, odtrącając dobrowolnie tę rękę i nie

chcąc przyjąć spoczywającego w niej zadatku szczęścia.... Niestety, choćby chciał nawet, nie mógł żadną tego miarą uczynić, ponieważ »całą jego przeszłość zagarnęła« inna kobieta.... Ach! nietylko przeszłość, ale i teraźniejszość, pomimo, że w niej dla siebie nie widział »żadnej przyszłości«⁴⁾. Pod tym względem najmniejszej nie robili sobie iluzji, zarówno on, jak i Joanna. A nawet, kto wie, czy ona lepiej sobie aniżeli on nie zdawała sprawy ze wszystkiego. Najlepszy dowód, że kiedy w nim — wtedy w Wenecyi — namiętność i rozkiełznane żądze wrzały jak huragan,

na nic się już nie oglądając, »ona przewidywała wszystko, co się stało, ona nigdy nie zapominała o przyszłości«⁵⁾. U niej »rozsałek« czuwał nieustannie, nie zasypiał ani na chwilę, pomimo, że nigdy nie wyglądała na równą mu, ale zawsze na jego »ofiara, poświęcającą się« i to »z głęboką wiedzą, że się poświęca«. Dlatego »lekkomyślnością« byłoby nie liczyć się z nią! Wszak wiedział doskonale, że on — nie kto inny — był teraz dla niej »wszystkiem«, choć oddalony, choć w niczem codziennem, praktycznem, nie dotykający jej okęgów. Wszystkiem, ponieważ ją przed ludźmi i przed własnem jej sumieniem pozbawił pokoju, ponieważ wygnał ją moralnie z progów domowych, ponieważ ona mu wszystko poświęciła, i dziś jest nieszczęśliwą, bez dawnej wśród znajomych estymy, »bez dawnego przywiązania do życia, któremu była przywykła«, bez dawnej równowagi serca i rozumu.... Dzisiaj jedyną jej ulgą, pociechą, jest myśl, że on jej nie uwiódł, ale że ją kochał; że »poświęciła się dla kogoś, któremu warto było tę ofiarę uczynić«. Gdyby się

z drugą ożenił, zbyt dotkliwy zadałby jej ten cios w samo serce. »Nie pojęłaby nigdy, że można pojąć inną kobietę, a zostać jej przyjacielem, bratem, i kochać ją sercem, wdzięcznością«. Gdyby się ożenił, »wydałoby się jej, że straciła dobrą sławę i może duszy swej zbawienie dla igraszki przewrotnego człowieka«. On zaś przedewszystkiem za takiego uchodzić nie chciał. Dlatego oparł się woli ojcowskiej i choć wąpił, czy zdarzy mu się drugi raz w życiu sposobność poślubienia istoty tak idealnej, jak ta, postanowił nie łudzić dłużej ani jej, ani siebie....

W tym celu, aby ująć pokusie, z dniem każdym silniejszej, wyjechał do Kissingen; innego bowiem nie widział wyjścia z tego labiryntu »najdolegliwszych wrażeń okropnej skończoności«, wrażeń, na których tle instytucya małżeństwa, nie wydawała mu się już, jak



EMIL VAN ARENBERGH.

¹⁾ Około 9 lub 10 stycznia 1837 r.

²⁾ Do Jaroszyńskiego, str. 33.

³⁾ »Nie tylem głupi, żebym nie wiedział, że głupi« (U St. Tarnowskiego, str. 95).

⁴⁾ Wiedeń, 6 maja 1837 r. List w tomie drugim »Listów« (do Sołtana) nie zamieszczony. »Wiesz, ile kochałem tamtą...«.

⁵⁾ Listy do Jaroszyńskiego, str. 17.

JÓZEF WODZINSKI.



NA STANOWISKU,

dawniej, kiedy pisał »Nieboską komedję«, *la plus sérieuse de toutes les bouffonneries*¹⁾. O kobietach za to, zamężnych zwłaszcza, trzymał nierównie mniej, aniżeli przed rokiem, »żadnej nadziei ni rachuby« na nich nie pokładając, tak dalece, że raz jeden nawet odzywa się w jego słowach — w jednym z listów do Soltana — jakiś »rodzaj żalu, czy gniewu, do oddalonej kochanki«²⁾. Wiedział, że mu ciężyła, że mu zagrażała drogę do szczęścia, że, spotkawszy się z nim dręczyć go będzie znowu »ciągłymi przeskokami od namiętnych wybuchów do mroźnej obojętności«, choć z drugiej strony nie miał pojęcia, kiedy ją spotka i czy się w ogóle spotka z nią jeszcze.

Prawdę powiedziawszy, wolałby może spotkania takiego uniknąć, ile że »ta kobieta jest niższą od jego wyobrażenia o niej, niższą nawet od niego samego«... Ach! bo »żaden ideał nie sprawdza się na ziemi! Dopóki w błękitach, on skrzydlaty, gdy zstąpi na dół, nosi konieczności kajdany«...

W kajdanach tych widział się niewolnikiem, skrepowanym, bezwolnym niewolnikiem, który nie był — jak w sonecie Mickiewicza — »z swojej rad niewoli«, ale przeciwnie: buntował się, szamotał nieustannie, pragnął zerwać te wrzynające mu się w duszę pęta moralne, które sprawiały, że nie mógł spać, ani jeść. Kiedy czytał, nie rozumiał, o co chodzi autorowi; gdy pisał — a na nic innego prócz listów zdobyć się nie był wstanie — ledwo, że litery stawiać potrafił, »bo w mózgu, jakby pijane, zataczają się myśli.« Na domiar złego, z oczami coraz gorzej. Niekiedy mdleje z bólu... »Ale w duszy gorszy jeszcze ból z powodu wielu zdarzeń«.

W takim humorze zastał go w Kissingen hrabia Wincenty Krasiński, schorowany, »blady, wychudły, posępny«, żądający odeń, aby się »z interesami zapoznał«, czyli, żeby z artystycznej przeszedł na praktyczną drogę, co, jak odgadnąć łatwo, autorowi wydanego w tym właśnie czasie *Irydiona* nie uśmiechało się bynajmniej. Na szczęście, tak był »znudzony sobą samym i ciężącą atmosferą« — do czego w niemałej zapewne mierze przyczyniła się obecność ojca — że mu »prawie wszystko jedno« było, co robić będzie i w którą go losy rzuca stronę. Bo »co się tyczy szczęścia«, to żadnego się już więcej nie spodziewał »na ziemi«.

Tymczasem, zanim powróci do kraju, do owych »praktycznych« zajęć, o których już sama myśl zawczasu przejmowała go wstrętem, i zanim wstąpi w nieznane sobie dotąd położenie, radby pojechać »gdzie nad brzegi Renu«, tam nając jaką chatę i siedzieć sam zupełnie aż do połowy października, za jedyne go towarzysza mając Jana, swego starego sługę³⁾.

Może, chodząc nad rzeką, odkryje w odbiciach jej fal przeznaczoną mu »przyszłość i sposoby radzenia jej«. Może też po takim miesiącu życia pustelniczego odzyska w części przynajmniej dawną świeżość wyobraźni, której nawet »za grosz« nie miał w sobie. »Wszystko wewnętrzne moje — powiada — zdaje się jednego losu doznawać z tem, co zewnątrz mnie jest«; to znaczy, że »gnije pod ręką konieczności«. Wsku-

tek tego, o pisaniu, do którego tak go zachęcał Gasiński, mowy być nie mogło, spokój bowiem, niezbędny przy tworzeniu — »daleki od jego duszy«. Natomiast coraz bardziej okrażają go »realne nudy, przy-musy, fakty, życie praktyczne«, a przytem »przecucie nędznego zawodu i końca«, przecucie, które mu pióro wytrącało z ręki.

»Kilka rzeczy zaczął, ale dalej ich ciągnąć nie umie: nie chce mu się«.

Różne zamiary, a między innemi »także humorystyczne, komiczne« (zaprawne śmiechem przez łzy) obok poważnych, jak »Konfederacja Barska« lub »Wandy myt« snuły mu się po głowie, »ale to wszystko oporem stąpa i najczęściej leży odłogi«, ponieważ autor, jak sądził, znajdował się właśnie w tej porze życia, gdzie fantazja usycha »pod zwątpieniem«.

VI.

Zwątpienie to w niemałym potęgowała stopniowo myśl o nastąpić wkrótce mającem spotkaniu z panią Bobrową, od której otrzymał w tym czasie list z Frankfurtu...

Nie można było nie jechać. Musiał! »Och, ja oszaleję kiedy!«

Jakoż, odprowadziwszy ojca do Erfurtu i powróciwszy zamtąd na kilka dni do Kissingen w celu pożegnania się z Danielewiczem, jadącym do Monachium, a z którym od pierwszych dni maja znów byli ciągle razem, wsiadł 15 lipca¹⁾ w dyliżans pocztowy, i choć »w głębi ducha przeczył zdarzeniom otaczającym«, znalazł się nazajutrz we Frankfurcie, pomimo »rad własnego rozsądku«, pomimo »burz własnej rozpaczki«, pomimo »słabości znużenia«, pomimo, że wiedział z góry, iż mu widzenie to nie da »łez radości do ocz«, ani mu »serca nie rozszerzy w piersi uczuciem szczęścia«.

»Widziałem ją przez trzy dni«. »Powiem ci, żebyś jej nie poznał: smutek i choroba tak ją przetworzyły. Oczy jej z błękitnych w ciemne, przygasłe się zmieniły; piękność lica pozostała, ale martwa, osłupiała, a w duszy nic prócz bólu ciągłego, mąk ciągłych i miłości dla mnie«. On jednak, choć wmawiał w siebie i w nią, że nie zubożętniał doszczętnie, nie był już zdolny na miłość jej odpowiadać miłością prawdziwą, nieklamana, i czuł się »nieszczęśliwy« w głębi duszy, widząc, że »był kochany, a kochać nie mógł«. Nigdy też pewno tak dobrze, jak teraz, nie zrozumiał owej paradoksalnej *Lebensironie*, że »daleko wyższem jest szczęściem samemu kochać, niż być kochanym«²⁾. Swoją drogą poczytywał sobie za obowiązek święty wyznać szczerą prawdę, objaśnić jak rzeczy stoją i nie łudzić zbyt kochanki. Bo jakkolwiek pozostała mu droga, jakkolwiek kochał ją »sercem, wdzięcznością«, pragnąc nazawsze pozostać »jej przyjacielem, bratem«, to przecież nie kochał jej tak, jak dawniej, jakby pragnęła, żeby ją kochał jeszcze. A nie sposób się przecież — zrozumie to każdy — do miłości przymusić, bo »są błyskawice i pioruny, lecz nie ma niw jednostajnych szczęścia«. To też, pomimo przeświadczenia, pomimo świadomości, że »serce kobiece o pioruny nie dba« i »chce mu się niw tych gładkich, jednakowych, konserwatorskich zawsze«, oświadczył jej wręcz, jak Irydion Kornelii Metelli:

¹⁾ Już w styczniu 1837 r. pisał do Soltana (str. 68). »*A propos* żądaj i miłości, Soltan już żonaty, a zatem nie dureń, bo trzydziestu lat nie ma«. Gasińskiemu zaś następującą daje radę w liście, d. 14 maja 1838 r.: »Strzeż się miłostek, a jeśli kiedy z miłością się spotkasz, a okoliczności sprzyjać będą, kochaj i ożeń się«.

²⁾ St. Tarnowski, *op. cit.*, str. 95.

³⁾ Por. »Listy do Soltana z Kissingen«, 1837 r.

¹⁾ »Listy do Soltana«, str. 102.

²⁾ Zob. w »Listach do Jaroszyńskiego«, str. 23.

— Jeżeli się nie poczuwasz do mocy, odejdz odemnie. Tu rozdziela się drogi nasze, będziesz spokojna, jak wprzód: obaczmy się kiedyś, nie na ziemi.

To samo zdanie wyraził następnie w wierszu, jaki jej wpisał do stambucha, a którego ostatnia zwrotka brzmiała:

Ukląkłbym może, błagał przebaczenia!
Lecz wy przebaczać nigdy nie umiecie....
Daj mi więc jeszcze tu na żywych świecie,
Co zmarłym dają: pokój zapomnienia!

Czegóż innego mógł, albo »miał prawo żądać od niej, lub mogąc, chciał«, on, którego jaźń tyle już jej złego wyrządziła, choć była »aniołem dobroci« dlań niegdyś? Ona jednak, ile że »kochala nadewszystko«, jakąś »spójnią magnetyczną« przywiązana do niego, nie chciała słuchać o tem, żądając, jak kochanka Malczewskiego, który »umarł z rozpacz«, ażeby ją nadal takim samym, jak wprzód, »obłogosławił szczęściem«, na co on, rozdrażniony i zniecierpliwiony, odpowiedział gorzko, że »szczęścia podług jej o szczęściu wyobrażeniu nie ma na podorędziu....«

I wyjechał.

Wyjeżdżając zaś, przekonany był że to, co się z tych dni frankfurckich w sercu jego zostało, na resztę życia będzie mu towarzyszem: »zgryzota, smutek, przywiązanie«.

Ostatniego najmniej, jak o tem aż nadto wymownie świadczą listy do Soltana i Gaszyńskiego pisane z Frankfurtu¹⁾, oba pełne skarg i złośliwych uwag na temat miłości i kobiet. »Smutek ogromny i poważny objął duszę moją...« »Nie ma miłości na świecie! Ze wszystkich snów naszych jeden tylko urzeczywistnić można: przyjaźń«. Bo przyjaźń »nie żąda kształtu«, lecz opierając się »na samej głębokiej treści rzeczy«, ma w sobie »coś purytańskiego, protestanckiego, surowego«, coś, co się obejść może »bez pędzla Rafaela, bez muzyki Belliniego«; kiedy miłość »prócz myśli, idei, wymaga jeszcze tego, co najszczytniejszem i najtrudniejszym jest na świecie: sztuki, widomej piękności, pewnego rodzaju katolicyzmu«. Dla miłości bowiem, jak dla katolicyzmu, trzeba pojednania harmonijnego najwznioślejszych ofiar moralnych »z najbardziej nęcącymi, pięknymi materii kształtami«. Co to jest Madonna? Czyż to nie najurodziwsze ciało i najczystsza dusza? Co Chrystus? Najpiękniejszy i najcenniejszy z ludzi! Co muzyka kościelna? Najsurowsze, a zarazem najmelodyjniejsze dźwięki, jak n. p. w *Requiem* Mozarta!

To powiedziawszy, prosi Soltana, ażeby wybrał się w drogę i szukał »żyjącej kobiety, któraby dorównała ideałowi miłości«. Znajdź taką, mówi, »w którejby boskim składzie, forma była kwiatem materii, dusza, kwiatem ducha, taką, któraby w objęciach twoich czystą została, a w podniosłości ducha jednak twoją była; taką, jednym słowem, którejby czyny nie popsuły ideału, a którejby ideał nie popsuł rozkoszy czynów! Jeszcze Bóg córki nie miał; dotąd Syna Jego widzieliśmy tylko!« Tyle o kobietach.

Niemniej pesymistycznym był w tymże czasie

pogląd poety na miłość¹⁾, której, zdaniem jego, »pierwszą siostrą jest Rozkosz, drugą Rozpacz, trzecią Nicość«.

Pierwsza — Rozkosz — bosko piękna, lecz znika jak mgła w promieniach namiętnego słońca; tajemnicza, z lepszego świata tu zjawiona, znika i przechodzi, kwapiąca się z powrotem do dalekiej ojczyzny. Spojrzysz, aliści już w oddali jej zasłona miesza się z chmurami. Wydzierasz serce z piersi i ofiarujesz jej krwawe, byleby się zatrzymała; ona jednak się nie obejrzy: anioły ją na skrzydłach umarłą niosą do nieba. Tam zmartwychwstanie dla świata, ale nie dla ciebie.

Druga — Rozpacz — jeszcze ma rysy przypominające urodę pierwszej: piękność to zawsze, tylko w konwulsjach. Wśród jęków i zgrzytań znać, że królewska córka, że nektar bogów wlał w nią pierwsze tchnienie życia. Gdy wyprości kibić, gdy wyteży ramiona, tęcze błyskają na niebie, błyskawice z pod stóp jej tryskają. W jednej ręce puhar ci podaje: bierz, bo kilka kropel szczęścia rozlanych, trucizną na dnie zostało; w drugiej sztylet trzyma: wydrzyj go, jeśliś śmiały, i zabij się; wówczas bowiem tylko ciało twoje skona. Jeśli tę chwilę opuścisz, odleci na wzór pierwszej i wtedy — jakkolwiekbyś się bronił — dusza twa umrzeć musi. Śmierć jej nieunikniona. Dlaczego?

Dlatego, że teraz dopiero przychodzi kolej na trzecią, najmłodszą z siostr — Nicość — która zjawi się przed tobą, podobna nieskończoności, bez kształtu żadnego, niewidzialna, niedotykalna, niedostępna. Uczujesz ją wszędzie: we dnie i w nocy; jak czas, jak przestrzeń, będzie z tobą. Spytaś, czego chce od ciebie? Nie odpowie. Zaklniesz, by się oddaliła, przystąpi bliżej jeszcze. Będiesz chciał zapomnieć: dzieje przeszłe, twarz kochanej: wyżebrzesz u czasu, że ci jej rysy z duszy wygluzuje. Lecz to ci ratunkiem nie będzie: przepaść tem głębsza wydrąży się w tobie, bo zupełnie pusta, żadną nie zaludniona postacią. Nicość cię z objęć swych nie wypuści.

Zabić, zniweczyć można wszystko, co *jest*, ale porwać się na *nic* i chcieć *nic* zatracić, to przechodzi siłę twoją. Owo *nic* od wszystkich światów silniejsze, które się rozprzestrzeniło w tobie, to pustynia, została po gmachach Palmyry.

»Proszę cię, zniszcz pustynię! Powiesz mi na to: odbuduj Palmyrę! Ach, mój drogi! Są inne miasta wielkie, w innych miejscach ziemi, ale nie ma Palmyry. Co się stało, stało się!«

»Nicość« ta, choć, ile mógł, wrywał się z jej objęć, ściagała go, jak Wenus Tannhäusera, aż do Wiednia, dokąd przybył na jesieni razem z Danielewiczem, a gdzie, zastawszy już Soltana przy córce swej, Maryi, postanowił przepędzić zimę; Soltan bowiem, który go »znał młodym i widział szczęśliwym dni kilka«, księżna Lubomirska i Konstanty, najprzyjemniejszą mu w tych czasach stanowili »trójkę«. Przekonany, że od nich jedynie spodziewać się może ulgi pewnej »w chwilach głębokiego smutku i zwątpienia, zaniechał marzeń o wiecznym mieście, willi Mills, Coloseum i wzgórzach rzymskiej Kampanii, bo choć »obrzydliwą jest zima«, lepsze towarzystwo przyjaciół serdecznych i noce spędzane z nimi na pogawędce, aniżeli słońce i niebo włoskie.

Niestety, po za rozmowami temi — przeważnie

¹⁾ Do Soltana z d. 24 lipca 1837 r. Z listu do Gaszyńskiego, wypuszczonego w tomie I-ym »Listów Zyg. Krasińsk.« — bo tak się podobają J. I. Kraszewskiemu — znajduje się charakterystyczny ustęp w wydanych przez samego Kost. Gaszyńskiego (w r. 1860) »Wyjątkach z listów Zygmunta Krasińskiego«. Dzień, w którym pisany list rzeczony, nie wydrukowany. Podano tylko: »Frankfurt 1837«. To wystarcza.

¹⁾ Zob. »Wyjątki z listów Zygmunta Krasińskiego« (Wydanie Konstantego Gaszyńskiego. Paryż 1890). Wyjątek z listu, datowanego z Frankfurtu, 1837 r. a niewłaściwego (!) do tomu I-go korespondencji poety.

u Danielewicza — po za wieczorami w teatrze, ilekroć występowała pani Rettich, stawało przed poetą całe jego życie »w przeszłości i przyszłości«: pierwsza rozdzierała go »wspomnieniami szczęścia niepowrotnego«;

Des Lebens Mai blüht einmahl und nicht wieder,
Mir hat er abgeblüht...¹⁾

kiedy druga trapiła »przecuciami niezawodnej zguby«. Dlatego, ile razy był sam, w swoim mieszkaniu na okopach, skąd miał widok na Kahlenberg — ledwo, że Sobieskiego nie widać — ogarniała go »rozpacz«, rozpacz, która mu często nie pozwalała zasnąć, tak iż dopiero, kiedy świtać zaczynało, »uciekał od dnia i spał głęboko«. Czasami znów — podobnie, jak mu się to już zdarzało w Kissingen — nie mogąc spać, zrywał się z łóżka rozgorączkowany, chwytając za pióro, i oto wiersze, które mu się wtedy »niejako same wydostawały z głowy«, a które dowodzą, »jak dalece, jak gorzko nieszczęśliwym« się czuł każdej takiej nocy bezsennej:

Wszystko, co kochałem,
Jak Bóg, dalekie, lub jak chmura znika.

a jednak, »choć ręka śmierci przytknięta do serca«, pierś żyje i »oddycha szalem«. I nie widział wyjścia z tego błędnego koła,

Chyba czas przyjdzie, czas, uczuć morderca,
Co wszystko zjedna, pogodzi, zabije,
Na starych różach z róż świeżych uwije
Nową koronę; lub nauczy sztych
Z ulud młodości; i młodość pochowa.

Jedynie wtedy pierś jego, »dawnych marzeń wdowa«, co czciła niegdyś, będzie nienawidzić! Tymczasem iskra geniuszu, która tliła w głębiach jego duszy, dzięki tej »ciągłej walce, która nosi imię towarzystwa«, gaśnie powoli — i

Dziś, niedojrzała, już tak wątła, mała,
Że może jutro, wśród ducha katuszy,
Wymrze, jak perła długo nie noszona,
Zniknie, jak kropla w południowym skwarze.

skona, jako »kwiat w pączku nierozwity«, a on zostanie »jak stare

ołtarze, na których leżą węgle i popioły, lecz bogów nie ma, ni ofiar, ni woni«.

Gdybym nie kochał *śmiertelnej piękności*,
I ust nie złożył na *widomem czole*,
Bylbym tą iskrą, spadłą mi z wieczności,
Pożar rozniecił na ziemskim padole,
I duszę moją pozaludniał tłumem
Żyjących myśli; z nich *skleił postaci*
Wspaniałe, wielkie; boskich skrzydeł szumem
Bylbym się wyniósł nad głowy *współbraci*.
Dziś już zapóźno!...

Na myśl, że »już zapóźno«, że »*des Lebens Mai blüht einmahl und nicht wieder*«, upadał pod ciężarem »rozdzierających męczarni dumy, która celu nie dopięła«, i »do wskazanego raz wepchnięty koła«, nie

mógł »skonać«, chociaż »co chwila konał podwójnym bólem«. Ból ten, obiegając myśli jego, »jak krew żyły«, sprawiał, że mu się wszystko — życie zwłaszcza — »szyderstwem« wydawało, i że o najbliższej przyszłości, różnemi przecuciami dręczony, myślał z dziwną jakąś, niewytłómaczoną obawą. »Nie minie dni wiele — pisał pod wpływem tego uczucia do Gaszyńskiego, — a mnie się coś stanie; przejrzeć jasno, co? nie mogę, ale coś takiego, nad czym ty zapłaczesz tam, w twojej pięknej Prowancji«¹⁾.

W chwilach takich, szukając pociechy »w świecie ducha«, ponieważ wiedział, że »prócz idei wszystko odbywszy krótki swój taniec znika«, czytał Hegla i Novalisa²⁾, pijąc z nich, »jakby opium ulgi, jakby chwilowe, lekkie zapomnienie«. Ale i ten środek, niestety, zawodził często, bo filozofia, jakkolwiek »dobra na bóle cudze, ogólne«, nie na wiele się przyda, jeżeli »cząstka naszego własnego serca dotknięta«, jeżeli dusza człowieka »zasklepia się w sobie samej i toczy się sama, gryzie, rozdziera«.

Tak przeszły: zima 1837 i wiosna 1838 roku.

L. SUCHODOLSKA.



WESOŁY MODEL.

¹⁾ Urywek ten z »Rezygnacji« Schillera przytacza Krasiński w liście swym do Gaszyńskiego, 9 Novembra 1837 r. (Wiedeń).

¹⁾ »Listy« t. I, str. 126.

²⁾ »Listy do Jaroszyńskiego«, str. 27. »W takich chwilach, Edwardzie, patrząc na mnie, przyznałbyś, że Hegel nie jest lekarstwem na wszystko«.

(Dokończenie nastąpi.)

FERDYNAND HÖSICK.

KONIEC MORSTINA.

STUDYUM HISTORYCZNE Z CZASÓW JANA SOBIESKIEGO.

(Ciąg dalszy).

II.

Poselstwo Morstina do Paryża. — Interesa pary królewskiej. — Kupno dóbr. — *Secrétaire du roi*. — Oburzenie szlachty. — Agitacja dworu. — Organizacja stronnictwa francuskiego. — Powrót do domu. — Biskup belowaceński i markiz de Vitry. — Pisma przeciw Morstinowi. — Defraudacye. — Podskarbiowie. — Burza w Sejmie. — Usprawiedliwienie. — Protest Przyjemskiego.

Pokój nimwęski pozornie wrócił Europie postać pokojową, w rzeczywistości jak każdy czyn gwałtu,

podrażnił narodowe uczucia, upokorzone chwilowo przewagą francuskiego oręza. Kształt Europy uległ rozległej zmianie, a wraz z nastąpieniem tej zmiany runęły moralne pierwiastki i wyobrażenia utrzymujące dotychczasowy mniej więcej ustalony porządek rzeczy, uścielając szeroką drogę uniwersalnej monarchii wielkiego zaborcy. — Pomimo traktatu nie przestał prowadzić Ludwik walki z Leopoldem o hegemonię

WALERY ELJASZ.



SABAŁA.
GEŚLARZ TATRZAŃSKI.

nad światem, a ta walka skłóciła całe rojowisko ludów germańskich i romańskich. Poza temi ludami germańskimi i romańskimi, dwie rodziny słowiańskie rozgrywały z Mahometanami ciężką partycję polityczną. Moskwa, Polska i Turcja ścierały się wzajemnie w wojnie, tylko tu na wschodzie rola Ludwika XIV przypadła sułtanowi Mahometowi IV. A ponad zwaną Europą unosiła się postać Innocentego XI papieża, postać majestatyczna, owiana apostolską skromnością i żarliwością, wypierająca się samolubstwa, byle urzeczywistnić ideę zbratania chrześcijaństwa, byle niewiernych wyrzucić na azyatyckie brzegi Bosforu. Polska zagrożona ciągle najazdami tureckimi, nie mogła rozwinąć odpowiedniej czynności, aby skorzystać z powszechnego zamieszania. Wyprowadzona na arenę europejskich wypadków przez francuską dyplomację, była w Paryżu i w Wiedniu przedmiotem gorliwych zabiegów, ale kresy odwoływały ją na wschód, kresy rozbiły jej mocarstwowe stanowisko na zachodzie i pochłonięły ostatnią dogodną sposobność zaważenia na szali szerokiej polityki potężnie i znacząco. Już pokój żurawiński i misja Jana Gnińskiego do Konstantynopola dosadnie przekonały społeczeństwo, że następca Keprilich, wielki wezyr Kara Mustafa podepcze rokowania. Sejm grodzieński z roku 1679 milczeniem pokrył niepowodzenie, ale boleść narodu, zwłaszcza z powodu utraty Kamieńca, była wielką, co nie trudno wywnioskować z skryptu »ad archiwum« złożonego, w którym uchwalono pospolite ruszenie i zlecono królowi wyprawić posłów do panów chrześcijańskich z prośbą o pomoc. Tymczasowo zgodzono się na układ Gnińskiego, zawarty na podstawie punktacji żurawińskich, czyli oddawano Turczynowi jedną z najpiękniejszych dzierżaw Rzeczypospolitej. Wojnę zasadniczo zatem postanowiono, tylko chwilowo ją odwleczono.

Najtrudniejszą ambasadę do Francji powierzono Janowi Andrzejowi na Raciborsku Morstinowi, wielkiemu podskarbiemu koronnemu, najtrudniejszą, bo Turcy byli naturalnymi sprzymierzeńcami Ludwika, gdyż odciągali wojska cesarskie z nad Renu dla osłonięcia krajów, z losami dynastji Habsburskiej związanych. Jeszcze na sejmie koronacyjnym dozwolono wyjechać Morstinowi za granicę celem poratowania zdrowia¹⁾. Morstin wybrał się z żoną i dziećmi do Włoch, a wracając do kraju w połowie 1678 roku zatrzymał się w Paryżu, aby załatwić osobiste interesa, mianowicie zlikwidować dług po nieboszczyku księciu de Longueville i wydobyć z pożyczki udzielonej rezydentom francuskim pierwszą ratę w kwocie stu tysięcy franków²⁾. W dziesięć miesięcy po tym pobycie w stolicy nadsekwanijskiej wrócił w jej mury z początkiem sierpnia w charakterze nadzwyczajnego przedstawiciela Rzeczypospolitej, wrócił zaszczycony francuskim poddaństwem już od marca 1678 roku. Morstina otaczał liczny orszak i przepychy znamienity; świetnością, bogactwem i malowniczością strojów zaćmił ceremonię wjazdu ambasadora hiszpańskiego de los Balbazes³⁾. Na audyencji powitalnej w St. Germain mówił dużo i wykwiłtnie o uczuciach sympatii Polaków dla Francji, następnie prezentował królowi towarzyszącą mu szlachtę. Ludwik z uśmiechem zauważył, że winien był i biskupa Forbin Jansona wymienić w gronie swoich rodaków, gdyż ten Polaków nadzwyczaj polubił, a Morstin

dowcipnie obiecywał uczynić to z chwilą nominacji biskupa kardynałem. Pierwsze dni uroku i etykiety nych recepcyj minęły, należało pomyśleć o celu podróży. Czy z czasem Sobieski i Marya Kazimira nie podsunęli podskarbiemu pod urzędową instrukcję czegoś z własnych finansowych słabostek? De Béthune, szwagier Jana, badał chciwie i chytrze wyszedł, że para królewska poruciła Morstinowi troszczyć się o wywindykowanie różnych pieniężnych pretensyj i uzyskanie przeciw raz parowskich brewetów dla markiza d'Arquien⁴⁾. Dziwnie rzeczywiście szybko wyłoniła się po przybyciu podskarbiego do Paryża sprawa wydostania od spadkobierców niedoszłego pretendenta do korony polskiej zaciągniętych u Sobieskiego i Morstina długów, Ludwik wyznaczył nawet osobną komisję ze względu na dostojęństwo strony spornej i przez usta Jansona kazał się spodziewać Junonie, jak żartobliwie ajenci dyplomatyczni ochrzcili królowę, pomyślnego końca⁵⁾. Co do prośby o posiłki Ludwik nie chcąc zrażać sobie Jana dawał wykrętne i wymijające odpowiedzi, nie przyjmując żadnego zobowiązania, nie szczędził pustych zapewnień o intencjach wsparcia Rzeczypospolitej, byle poprzednio zbadał, czy i inni chrześcijańscy książęta oświadczą się za ligą, nie miał bowiem zamiaru bez zabezpieczenia się narażać na hazard stosunków kupieckich z Lewantem⁶⁾. Tymczasem jak się okazywało rewelacje osobiste Morstina przed Ludwikiem były ugruntowane na podstawie głębokiej znajomości stosunków politycznych; Rosya zdradziła niebawem sprawę ligi, cesarz ociągał się, państwa drugorzędne obiecywały pomoc pieniężną. Morstin po blisko jednorocznych pertraktacjach miał zawieźć do kraju nieuchwytnie obietnice spóldziałania Francji, gdyby ogół monarchów nie uchylił się od zbiorowej interwencji. Nie lepiej powiodło mu się z poleceniami pary królewskiej, sumy Longueville'a, rachunkowe pretensje Sobieskiego nadal w zawieszeniu pozostawiały, co najgorsza wyniosły Ludwik wzbraniał się zaszczyścić tytułem księcia podtatusiałego i niedobrze w cenzurze moralnej zapisanego ojca Maryi Kazimiry, drażniąc nielitościwie dumę jego ukoronowanej córki⁷⁾. Misja Morstina była z góry skazaną na niepomyślny wynik, każdy poseł niczego innego nie dokonałby, niepodobna prawie było rozciąć gordyjskiego węzła prywatnych i politycznych zagadnień, spoczywającego w rękach arcychrześcijańskiego Ludwika.

W czasie odprawiania ambasady zakupił Morstin z początkiem 1680 roku olbrzymie dobra Château-Vilain, d'Arques en Bassigny, Monterouge po zmarłym księciu de Vitry za cenę miliona liwów i uiścił według informacji biskupa Jansona ośmset tysięcy zaraz gotówką, resztę zaś, więc dwieście tysięcy, miał spłacić w chwili wstąpienia w prawa właściciela⁸⁾. Równocześnie Ludwik dając w posagu naturalnej córce swojej Maryi Annie de Bourbon, mademoiselle de Blois, narzeczonej księcia de Conti, brata późniejszego elekta polskiego milion liwów, zamierzał nabyć schedę po Vitry'm, ale powiadomiony, że Morstin w kupnie się już zaangażował, odstąpił mu pierwszeństwa⁹⁾. Ści-

¹⁾ Volumina legum. T. V. Str. 384.

²⁾ A. h. P. T. V. Str. 131 i 141.

³⁾ B. o. M. cz. III. nr. 55.

⁴⁾ A. h. P. T. V. Str. 307—309.

⁵⁾ B. o. M. cz. III. nr. 59.

⁶⁾ A. h. P. T. V. Str. 296.

⁷⁾ Tamże. Str. 324. List p. Baluze do p. de Pomponne. Baluze wspomina ogólnikowo, że polecona Morstinowi przez Maryę Kazimirę sprawa nie powiodła się.

⁸⁾ B. o. M. cz. III. nr. 58, 59.

⁹⁾ Tamże. nr. 60.

śle z kontraktem nabycia dóbr wiązało się kupno tytułu sekretarza królewskiego. Dostojnicy ci byli urzędnikami wielkiej kancelarii koronnej, podpisywali, opatrywali pieczęciami i wysyłali na miejsce przeznaczenia listy i akta królewskie, a w zamian za te czysto formalne zatrudnienia wyposażeni byli pokaznymi przywilejami, mianowicie prawem domagania się nobilitacji dla siebie i swego potomstwa, jeżeli lat dwadzieścia godność piastowali, z reguły zasiadali przy stole królewskim w charakterze towarzyszy, w procedurze karnej ulegali sądownictwu kanclerza lub paryskiego parlamentu, w cywilnej referendarzom rady stanu, wielu z nich oprócz pensji stałej pobierało pewną część dochodów pieczęci koronnej w postaci tak zwanego workowego (bourse), mogli nabywać i posiadać szlacheckie lenna, nie opłacając żadnych podatków od nich do skarbu państwa¹⁾. Ostatni względ skłaniał wielu francuskich magnatów do starania się o to honorowe dygnitarstwo, chętnie płacili za stopień pewną kwotę, aby się zwolnić na zawsze od ponoszenia ciężarów podatkowych i utorować sobie przez zbliżenie się do monarchy ścieżkę do osiągnięcia wyższych ambicji. I Morstin oszczędnością prawdopodobnie wiedziony zakupił tytuł sekretarza i złożył Ludwikowi przysięgę na wierność²⁾. Nową przyodzianą szatą wypowiadał

¹⁾ Chéruef: Dictionnaire historique des institutions, mœurs et coutumes de la France. Seconde partie. p. 1145.

²⁾ Morstin niewątpliwie nabył sekretaryat królewski *«secrétaire du Roi»*. Stopień ten kupił, a innego sekretaryatu przez kupno nabyć nie było można. Sekretarzy królewskich było zrazu sześćdziesięciu. Ludwik XI podwoił ich liczbę, edykt zaś z marca 1704, kreował aż 340 podobnych dygnitarzy. W drugiej połowie XVIII wieku płacono za ten stopień po 120.000 liwów, lecz rewolucja znosząc instytucje monarchiczne nie przebaczyła i sekretarzom. Za Ludwika XIV cena kupna jest nieznaną dokładnie, była jednakże nieznaczną, o wiele mniejszą niż w ostatnich chwilach monarchii. Sekretarze oczywiście nie wszyscy pełnili czynności formalne z urzędem ich połączone, kilku zaledwie lub kilkunastu zatrudnionych było przy królu, reszta zadawała się tytułem. W rękopisach polskich błakają się bałamutne wzmianki o tym stopniu, przeważnie mówi się o *«sekretaryacie — secretariatus»* lub *«sekretaryacie korony i domu królewskiego»*, rzadziej o *«sekretaryacie stanu»*, widocznie zatem nie posiadano żadnej świadomości czym była ta godność i jak się właściwie nazywała. Sekretaryat stanu był we Francji identycznym z ministerstwem, a ministerstw istniało za Ludwika XIV zaledwie cztery, mianowicie spraw wewnętrznych, domu królewskiego i wyznań zarazem, wojny i marynarki. Naczelnikiem skarbu był kontroler generalny, oddziałem sprawiedliwości kierował kanclerz. Jedyna zmiana ministra nastąpiła w roku 1679, gdy Arnauld de Pomponne ustąpił teki spraw zagranicznych Karolowi Colbertowi markizowi de Croissy. Zdarzali się także sekretarze stanu bez teki jak Duplessis-Guénégaud lub Châteauneuf de la Villière, ale to nader wyjątkowo i naturalnie nie za pomocą kupna na urząd nominowani. Podówczas funkcjonowali już *«secrétaires interprètes»* w ministerstwie spraw

jak zaznaczyliśmy zapatrywania na ligę, nie szczędził rad dyplomatom Ludwika i o ile się zdaje redagował własnoręcznie komentarze na marginesach memoriału czy pamiętnika o stanie Rzeczypospolitej, do ministerstwa spraw zagranicznych nadesłanego³⁾.

Do Polski z razu głucha przecisnęła się wieść o transakcjach podskarbiego, szlachta przebąkiwała, że umyślnie przedłużał misję, aby własne forytować mógł interesa, pojawiały się już nawet nazwiska kandydatów do ogłoszenia mającego się po nim wakansu, a utajoną sprężyną nagłego niezadowolenia była podobno Marya Kazimira, rozgoryczona odmową Ludwika⁴⁾. Mecenasował wprawdzie w połączeniu z wielkim kanclerzem Wielkopolskim zagrożone stanowisko Morstina de Béthune⁵⁾, zasłaniał obwinionego z niezłym skutkiem, lecz wrogi podmuch z dworu wiejący rzucał między tłum hasło oburzenia. Sam Sobieski przykładął rękę do agitacji, czy to rozdrażniony z powodu wyniku poselstwa, czy istotnie z przekonania, potępiając osobiste postępowanie podskarbiego, czy też dla miłej, świętej zgody z małżonką. Morstin uwiadomiony o powitaniu, czekającym go w domu, wahał się jechać na Wielkopolskę, albowiem szlachta tamtejsza przeświadczona, że on wpłynął w Paryżu na odjęcie pełnomocnictwa odwołanemu w tym czasie de Béthune'owi, bardzo popularnemu w szerokich warstwach społeczeństwa, zasadziła się nań i postanowiła poczęstować go czynną zniewagą⁶⁾. Jakoś i kanclerz wielki koronny dopatrzył się intryganckich knowań przyjaciela w odebraniu akredytywy de Béthune'owi i dlatego wnet z obrońcy zamienił się w jego wroga⁷⁾. Czyżby naprawdę przeobrażenia w ambasadzie warszawskiej dokonane zostały pod wpływem Morstina, czyżby to tylko miała być bajka wymyślona przez dwór dla podania go w nienawiść szlachty?

zagranicznych, jako tłumacze dokumentów na języki wschodnie, wybierani dlatego zazwyczaj z pomiędzy dragomanów Lewanty i *«secrétaires du cabinet»*, obie godności nadawane przez króla, a nie sprzedawane. Późniejsi są *«secrétaires généraux»*. — Patrz w tej sprawie Chéruef: l. c. i pag. sq. — O sekretarzach stanu informację u Clément'a: Le gouvernement de Louis XIV, ou la cour, l'administration, les finances etc. Paris 1848. Str. 48.

³⁾ A. h. P. T. V. Str. 358. *«Mémoire sur les affaires de Pologne»*. Porównać należy bardzo trafną uwagę wydawcy *«aktów»* K. Waliszewskiego.

⁴⁾ A. h. P. T. V. Str. 303. Depesza de Béthune'a do Ludwika. — List de Baluze do p. de Pomponne. Str. 324.

⁵⁾ Tamże. Str. 412.

⁶⁾ Nabelak: Listy Piotra des Noyers do Izmaila Bouillaud. — Biblioteka Ossolińskich. X. Str. 44, 45.

⁷⁾ A. h. P. T. VII. Str. 119,

(Ciąg dalszy nastąpi).

ERNEST DEICHES.

KRZYSZTOF KOLUMB W ŚWIETLE NAJNOWSZYCH BADAŃ.

Ze wszystkich wielkich wypadków dziejowych, które przygotowały przejście z wieków średnich do nowych, największej doniosłości jest odkrycie Ameryki przez Krzysztofa Kolumba. Dopiero bowiem od odkrycia jej możemy mówić o dziejach powszechnych i o handlu światowym. To też czterechsetletnią rocznicę tego zdarzenia obchodzą w roku ubiegłym uroczystie wszystkie narody cywilizowane. Również i z powodu zbliżającej się rocznicy stały się odkrycie Ameryki i osobistość Kolumba przedmiotem rozległych i mozolnych badań archiwalnych, a owocem tychże jest rozjaśnienie niejednego szczegółu z przebiegu tego ważnego wypadku dziejowego i życia wielkiego

męża. Przedstawienie najważniejszych wyników z dotyczących badań, niech będzie treścią niniejszych ustępów.

I.

Nie ma osobistości historycznej, którejby dzieje przedstawiały tyle wątpliwości do rozwiązania, ile życie Kolumba. Mimo wielkiej ilości podjętych w tym kierunku usiłowań, pozostaje wiele szczegółów z życia tegoż, z czasu przed jego pierwszą podróżą, nierozjaśnionych. Przyczyna tego pochodzi ztąd, że brak nam współczesnych wiarogodnych zapisków, bo Kolumb, pochodzący z rodziny ubogiej, zwrócił na siebie uwa-

gę dopiero wtedy, gdy się stał odkrywcą nowej części świata, a potem, że sam nigdy o swem pochodzeniu i życiu jasno się nie wyrażał, owszem opowiadaniem swem do powstania wielu wątpliwości się przyczynił.

Już o miejsce i rok urodzenia Krzysztofa Kolumba toczy się spór. Kilkanaście miejscowości północnych Włoch starało się o zaszczyt nazwania go swoim synem, a w ostatnich czasach wystąpiła do współzawodnictwa i Korsyka¹⁾. Z dokumentów XV wieku, które się w archiwach Genui i Sawony zachowały, albo których kopie już wcześniej sporządzono, wynika niewątpliwie, że Krzysztof Kolumb, po włosku Christoforo Colombo, nie pochodził z rodziny zamożnej ani szlacheckiej, tylko był synem rodziny mieszczańskiej. Ojciec odkrywcy Dominik (Domenico Colombo) trudnił się przez wiele lat w Genui tkactwem i handlem wełną. Powodzenie początkowo sprzyjało mu, przyszedł bowiem do posiadania domu na przedmieściu Genui, którego położenie dziś jest wiadome dzięki mozolnym poszukiwaniom margrabiego Stagliano. Jest to obecnie dom, położony pod l. 37 na przedmieściu Vico dritto de Ponticello. W tym domu przeżył Krzysztof Kolumb swe lata młodości i tu prawdopodobnie się urodził. W celu uczczenia pamięci wielkiego męża, zakupiła rada miejska Genui w r. 1887 dom ten i opatrzyła stosownym napisem.

Trudnem jest i oznaczenie roku urodzenia Kolumba. Trzy główne lata wymieniano dotychczas, t. j. rok 1436, 1446 i 1456. W braku pewnych świadectw nie da się i dziś stanowczo rozstrzygnąć, ale w przybliżeniu można wymienić czas urodzenia Kolumba, t. j. czas między 25 maja 1446 i 20 marca 1447 r. Prócz najstarszego Krzysztofa, przyszłego odkrywcy nowej części świata, miał Domenico Colombo jeszcze trzech synów i jedną córkę. W r. 1470 albo 1471 przesiedlił się tenże z niewiadomego nam powodu do Sawony, nie zrzekając się jednak praw obywatela genueńskiego. Tutaj obok głównego swego zajęcia tkactwa zajmował się także — jak to wynika z aktów notaryalnych — wyszynkiem, kupowaniem i sprzedażą gruntów. Akta te wykazują również, że powodzenie w Sawonie mu nie sprzyjało, że kilkakrotnie nie mógł zakupionej wełny zapłacić i nawet musiał dom swój w Genui sprzedać. Jako starzec powrócił Domenico Colombo do Genui i tu też życie zakończył. Ostatni raz wymieniają go akta notaryalne w r. 1494, jako świadka przy jednym testamencie, liczącego 75 lat wieku. Akta notaryalne Sawony wymieniają również kilkakrotnie i Krzysztofa Kolumba, ostatni raz 7 sierpnia 1473 r. Potem ginie wszelki ślad pobytu jego w Sawonie i Włoszech. Coraz smutniejszy stan materialny ojca zmusił go do szukania utrzymania gdzieindziej. Już w Sawonie obok głównego swego zajęcia, tkactwa, szukał Kolumb innych źródeł zarobku, a takim źródłem było dla niego morze. W Genui, jak we wszystkich miastach nadbrzeżnych zatoki genueńskiej rozwinięte było życie żeglarskie; podróże handlowe, przygody i odkrycia, dokonywane wówczas na wybrzeżu Afryki, dawały nowe tematy do rozmów, projektów, i zapalały wyobraźnię. Nic więc dziwnego, że i Kolumb postanowił szukać utrzymania i przygód na morzu. Zwrócił się tedy do Portugalii, bo ztąd wychodziły ówczas wielkie wyprawy morskie. Z pobytu w Por-

tugalii wiąże się małżeństwo Kolumba z Filipą Moniz Perestrello, córką, albo jak niektórzy uczeni twierdzą, wnuczką Bartłomieja Perestrello, pierwszego lennika korony z wyspy Porto Santo. Roku przybycia Kolumba do Portugalii, czasu jego ożenienia, mimo mozolnych poszukiwań uczonych, oznaczyć ściśle niepodobna. Prawdopodobnie małżeństwo nie przyszło do skutku przed r. 1478. Również i o jego życiu rodzinnem i dzieciach, z tego małżeństwa pochodzących, nie wiemy nic. Niepewną rzeczą jest, czy Kolumb po swem ożenieniu przebywał na Porto Santo, prawdopodobnie mieszkał nadal w Lizbonie, a wyspą tą zarządzał brat żony. Tu mógł Kolumb studiować papiery i pisma, pozostałe po teściu, tem bardziej, że zmarły był doświadczonym żeglarzem. Pobyt w Lizbonie był też dla Kolumba nader ważnym, bo w tem mieście koncentrowało się wówczas życie morskie, któremu się oddał teraz i Kolumb. W Portugalii dopiero nabył on wiadomości żeglarskich; było to tem więcej możliwem, że wiadomości techniczne żeglarzy u schyłku XV w. były jeszcze tak małe, iż wymagało kilka tygodni dla zapoznania się należycie z niemi. Tutaj też powziął Kolumb zamiar szukania drogi do Indyj przez żeglugę na zachód.

Osobistość Kolumba, nieznana przed odkryciem nowej części świata, niespodziane ukazanie się nowych krajów, a nawet postępowanie samego Kolumba były pierwszym źródłem wytworzenia się całego cyklu podań. Wcześniej znalazły one też swój wyraz. Wyrazem tym jest wydana w r. 1571 w Wenecyi, po włosku, biografia Kolumba, która według tytułu i przedmowy napisana była przez Ferdynanda, naturalnego syna Kolumba, po hiszpańsku, a przetłumaczona na język włoski przez S. Alfonso Ullva. Tytuł pełny brzmi: »Historie del S. D. Fernando Colombo, nelle quale se ha particolare et vera relazione della vita et de fatti dell' Ammiraglio D. Chr. Colombo, nuovamente di lingua Spagnuole tradotte nel Italiano dal S. Alfonso Ullva. In Venetia 1571«.

Biografia ta była aż do najnowszych czasów uważaną za jedyne pewne źródło do dziejów Kolumba. A przecież właśnie autentyczność tego dzieła stała się w ostatnich latach przedmiotem ożywionego sporu literackiego. Od roku 1871 starał się uczony prawnik Henry Harrisse z Nowego Jorku w licznych pismach udowodnić nieautentyczność tej biografii w tej formie, jak wydana została¹⁾. W kilkanaście lat później (1884) w pierwszym tomie biografii Kolumba w języku francuskim wydanej²⁾, streścił Harrisse swe zapatrywania w twierdzeniu: biografia jest dziełem, którego należy z największą ostrożnością używać, kontrolując nieustannie opowiadania, cytaty, a nawet nazwy i daty; w tym razie mamy przed sobą źródło niepośledniej wartości, które się na autentycznych, dziś już niektórych zaginionych dokumentach opiera. Co do autorstwa, utrzymuje Harrisse, że pochodzić nie może od Ferdynanda Kolumba, ale prawdopodobnie od wrzekomego tłumacza Ullva. Skłaniają go do tego twierdzenia trzy względy. Po pierwsze, nieznany oryginał a niezgodne szczegóły zawarte w przedmowie tłumaczenia, następnie nieprawdziwe szczegóły, które pismo to Kolumbowi o sobie samym podsuwa, wreszcie liczne inne

¹⁾ Ob.: Peretti, Christophe Colomb, Français, Corse et Calvais. Paris 1888.

¹⁾ Pierwszem dziełem w tej sprawie jest: Henry Harrisse, D. Fernando Colon, historiador de su padre. Essayo critico. Por el autor de la Biblioteca Americana Vetustissima. Sevilla 1871.

²⁾ Chr. Colomb, Paris 1884 — jako tom VI dzieła: Recueil de voyages et de documents pour servir à l'histoire de la geographie.

błędy, mianowicie w pierwszej części tego dzieła. Kilka słów o Ferdynandzie Kolumbie i o tem dziele wyjaśnia nam tę rzecz bliżej. Ferdynand Kolumb, albo z hiszpańska Don Fernando Colon był naturalnym synem Krzysztofa z Hiszpanką Beatrice Enriquez. Wychował się w Kordowie i towarzyszył w młodym wieku ojcu w jego czwartej i ostatniej podróży (1502—1504) do Indyj Zachodnich i do Środkowej Ameryki. W kilka lat później odbył po raz wtóry podróż do nowej części świata. Podróżował potem wiele po Europie i osiadł wreszcie w Hiszpanii. Zamiłowany w naukach, a mianowicie w prawie i kosmografii, zebrał znaczną bibliotekę. Umarł w Sewilli r. 1529. Przypisywana Ferdynandowi biografia ojca przysporzyła mu najwięcej sławy. Przy bliższem jednak rozpatrzeniu się powstaje pytanie, dlaczego, jeżeli Ferdynand jest autorem, nie napisał tej biografii w języku włoskim, tylko hiszpańskim. Bo Ferdynand czuł się zawsze Włochem, mówił podczas podróży po Hiszpanii tylko po włosku, żył prawie wyłącznie z Włochami, a szczególnie Genuńczykami i spisał testament swój również po włosku, a skądżeby biografią swego ojca miał napisać po hiszpańsku? Jest to rzecz mało prawdopodobna, ale nie wykluczona, bo przecież żył i pisał w Hiszpanii i Hiszpanii wiele zawdzięczał. Byłaby to zresztą tylko sprzeczność zewnętrzna, ale są jeszcze inne, wewnętrzne, wynikające z samego dzieła. I tak autor biografii, a miałby być nim syn, nie wie nic o roku, miejscu urodzenia i szczegółach młodości ojca, a to rzekomo z powodu zbyt młodego wieku, kiedy przecie Ferdynand w chwili śmierci ojca miał już lat ośmnaście. Również czytamy w biografii, że zwłoki Krzysztofa Kolumba zostały złożone w katedrze w Sewilli. Czyż syn, a do tego mieszkający w Sewilli, gdyby był autorem, mógłby nie wiedzieć, że ojciec pochowany został w małym kościółku Kartuzów po za murami Sewilli położonym? Ale jeszcze więcej. Z całej rodziny Kolumba jeden Ferdynand znalazł miejsce swego spoczynku w katedrze w Sewilli, a napis, położony na grobowcu, z małą odmianą przypominał napis na grobowcu Krzysztofa. Czyż nie nasuwa się tu podejrzenie, że autor biografii pomieszał oba grobowce? Również tenże przypisuje Kolumbowi pochodzenie szlacheckie, a rodzinie jego piastowanie kilkakrotnie godności admirałskiej, szczegóły, których nieprawdziwość była synowi dobrze znana. Dodajmy do tego jeszcze dwie okoliczności. Ferdynand Kolumb pozostawił dokładny spis dzieł i rękopisów znajdujących się w bibliotece jego, ale nigdzie nie ma wzmianki o biografii ojca. To nam tłumaczy, dlaczego tekst hiszpański tej biografii nie znalazł się ani w Hiszpanii, ani we Włoszech, bądź drukowany, bądź pisany. Rękopis tej biografii miał przywieść do Genui w r. 1568 — jak to na wstępie

(Ciąg dalszy nastąpi).

jest powiedzianem — Don Luiz Colon, wnuk Krzysztofa. Jest to jednak nieprawdziwem, gdyż Luiz Colon, oskarżony o polygamię, od r. 1558 do 1563 przebywał w więzieniu hiszpańskim, a potem skazany na dziesięcioletnie wygnanie do Oranu, tamże umarł. Wszystkie te szczegóły wskazują nam, że Ferdynand Kolumb nie mógł być autorem tej biografii w formie, w jakiej wydana została. Dzieło to ukazuje się nam raczej jako pismo, którego głównym celem było odświeżenie przyćmionej już wówczas sławy Kolumba i okazanie nadzwyczajnych jego zasług, a czyniło to przez przytoczenie wielu nieprawdziwych szczegółów z jego życia. Do takich to nieprawdziwych szczegółów należy najpierw wiadomość o studiach Kolumba w Pawii.

Czytamy w wymienionej biografii, że Kolumb przebywał w czternastym roku życia dla nauki kosmografii, astrologii i geometrii na uniwersytecie w Pawii. Pominąwszy tę okoliczność, że stosunki majątkowe ojca nie były takie, aby umożliwiały wysyłanie syna na naukę do odległego miasta, to za nieprawdziwością wiadomości tej przemawiają i mały zasób wiedzy Kolumba w tych przedmiotach i brak czasu w życiu jego na pomieszczenie tych studyów, co się da udowodnić dokumentami. Inny tego rodzaju nieprawdopodobny szczegół, jaki biografia podaje, jest podróż Kolumba na północ. W lutym r. 1477 miał Kolumb przebywać w odległości stu mil morskich na północy od wyspy Tile (Thule, t. j. Islandya) pod 78° półn. szerokości. Zastanawia przy czytaniu tego ustępu użycie przez żeglarza klasycznego wyrazu Thule zamiast Islandyi, która to nazwa wyłącznie na kartach XV i XVI wieku się znajduje. Ale i ze stanowiska żeglarskiego biorąc, jest wiadomość ta nieprawdziwą. Podróż bowiem na sto mil po za Islandyą jest tem szczególniejszą, że przedsięwziętą byłaby w miesiącu lutym. Nawet przy dzisiejszym stanie żeglugi zdarza się nader rzadko, aby okręty w tej porze ku Islandyi żeglowały, albo jeszcze wyżej na północ się udawały. Można jednak powołać się także na słowa samego Kolumba, napisane w dzienniku podczas pierwszej podróży do nowego świata r. 1492, gdzie wymienia jako najdalsze kraje, które zwiedził, na północy Anglię, na południu Gwineę. Niewątpliwie byłby Kolumb podał Thule, czyli Islandyę, jako najdalszą okolicę, gdyby w istocie tak daleko ku północy był dotarł.

Wśród podróży morskich i ożywionego życia żeglarskiego w Portugalii dojrzał u Kolumba plan szukania drogi do Indyj przez żeglugę w kierunku zachodnim. Ale plan Kolumba opierał się na różnych przypuszczeniach, o których prawdziwości przy ówczesnym stanie wiedzy współcześni przekonali się jeszcze nie byli w stanie.

WALERYAN HECK.

K R O N I K A.

* Pomiędzy papierami pozostałymi po ś. p. Józefie Blizińskim, szanowna jego małżonka znalazła całą jednoaktową komedię p. t. «Panna z posagiem», nigdy nie drukowaną i nigdy niegraną. Zapoznaliśmy się z tą drogą spuścizną, nakreśloną przez autora «Rozbitków» jeszcze w 1867 r. — t. j. w chwili kiedy talent jego po pierwszych naśladowniczych próbach wyłaniał się z obcych powijaków w całej swej wspaniałej samoistości. Jakkolwiek komedy-

ka nie należy do najprzedniejszych utworów znakomitego komedyopisarza jest jednak *śliczną*, pełną rodzimego ciepła, artystycznej prostoty i poezji. W naszym przekonaniu kwalifikuje się ona najzupełniej tak do druku, jak do grania, a teatr, który ją *umiejętnie* — z odczuciem kryjących się w niej wytwornych zalet — przedstawi, wzbogaci swój repertuar cenną perelką. Nigdy Bliziński — nawet w swych arcydziełach — nie nakreślił równie *charakte-*

rystycznie i pięknie postaci lekkiego amanta (Ludwik) jak w tej drobnostce. I Genio z «Panna Damazego» nie jest lepszym.

* Dnia 13 lipca b. r. odbyło się posiedzenie Komisji historii sztuki w Akademii Umiejętności pod przewodnictwem prof. dra Maryana Sokołowskiego. Przewodniczący złożył pracę p. Aleksandra Jelskiego z Zamościa o pasiarni Radziwiłłowskiej w Słucku, opartą na źródłach archiwalnych i dostarczającą wielu

ważnych i nieznanych szczegółów do dziejów tej fabryki i jej wewnętrznego urządzenia. Okazuje się, że materiały do wyrobu pasów i innych tkanin sprowadzano z Gdańska. Od r. 1807 kierował fabryką Józef Borsuk, uczeń Madzarskiego. Od czasu kiedy strój polski został wzbroniony t. j. po r. 1831 wyrabiano w Słucku jeszcze przez czas jakiś, paski do stroju żydówek t. zw. załóżki. Dywanów w Słucku prawdopodobnie nigdy nie robiono. Prof. Łuszczkiewicz zwrócił uwagę komisji na wiadomość (podaną w dziennikach) o odkryciu grobu biskupa Macieja Gołanczewskiego, († 1368) w katedrze Włocławskiej, przy czem znalazło się pióro (*curvatura*) pastorału w stylu romańskim z emalią limuzyńską. Prof. Sokołowski zawiadomił, że Muzeum ks. Czartoryskich nabyło pas, który świadczy, że wyrabiano pasy na polski użytek w Konstantynopolu. Następnie złożył prof. Sokołowski dosłowny tekst przywileju z r. 1519 dla kolegiaty opatowskiej, o którego malowaniach miniaturowych pisał prof. Wojciech Gerson ze stanowiska artystycznego w »Sprawozdaniach«. Wreszcie odczytano sprawozdanie z posiedzeń lwowskiego Grona Komisji odbytych d. 13 marca i 30 maja b. r. pod przewodnictwem prof. Dra Tadeusza Wojciechowskiego. Dr A. Czołowski złożył srebrny pozłacany kurek, który jest własnością lwowskiego Towarzystwa strzeleckiego. Gmerk »niedźwiedź« i litery W. B. znajdujące się na kurku dowodzą według p. Wł. Łozińskiego, że zabytek ten jest roboty lwowskiego złotnika Walentego Brzezińskiego, żyjącego w końcu XVII w. Z kolei przedstawił p. Rebczyński zegar stołowy z XVII w. bardzo pięknej roboty z brązu i ze stali Pawła Dobrosztańskiego w Podhorcach. Dr Jan Antoniewicz mówił następnie o bogatym zbiorze rękopisów ormiańskich, ozdobionych przepysznymi miniaturami a znajdujących się w bibliotece narodowej w Paryżu; dwa z nich pochodzą ze Lwowa, wykonane w r. 1638 przez księdza mówiącego po polsku, jak dowodzą napisy. Dr Papée zwrócił uwagę na liczne rękopisy ormiańskie w bibliotece uniwersyteckiej lwowskiej, ozdobione bogatym rysunkiem ornamentacyjnym. Na posiedzeniu d. 30 maja p. Michał Kowalczyk zdał sprawę z wycieczki do Leszniowa w powiecie Brodzkim, celem zbadania tamtejszej synagogi. Murowany ten budynek czworoboczny uwieczniony wysoką atyką został prawdopodobnie wzniesiony w XVII w. około r. 1636. Dr Finkel wspominał o bóżnicy taropolskiej bardzo starannie z kamienia budowanej, o której Ulryk Werdum w opisie swej podróży z r. 1672 powiada, że jest »włoskiej« roboty. Następnie zakomunikował p. Bostel wiadomość o nieznanej dotąd fabryce pasów perskich w Stanisławowie. Nawiązując do tego, zwrócił uwagę Dr Czołowski na szczegóły do dziejów fabryki jedwabiu w Brodach zawarte w dziele Joachima Pastoriusa: *Historiae Poloniae, pars prior*. Następnie przedstawił ks. prałat Petruszewicz rzeźbę na kości słoniowej, wyobrażającą Chrystusa na krzyżu, którą odnosi do XI lub XII wieku. W końcu odczytał Dr Czołowski list St. Żółkiewskiego z r. 1620 do rajców lwowskich w sprawie Bogusza, Ormianina, malarza, zajętego pracami swej sztuki w Żółkwi na dworze hetmana.

* Cykl obrazów Piotra Stachewicza osnuty na legendach o N. P. Maryi nowe święci tryumfy na wystawie w Monachium. Publiczność gromadzi się przed niemi tłumnie, a krytyka jednomyślnie chwali i podnosi zalety kompozycji i wykonania.

* Felicyan Faleński, z żoną swą Maryą Faleńską — znaną powieściopisarką — gościł w Krakowie dni parę w przejeździe do Krynicy. Wkrótce rozpoczniemy w *Świecie* druk humoreski prozą znakomitego poety, noszącej tytuł »O głupim Gawle«.

* Mistrz Jan Matejko maluje wspaniałą kompozycję wyobrażającą króla Jana Kazimierza składającego ślub. Ci co widzieli ten obraz zachwycają się jego układem pełnym życia i ruchu, nie mówiąc już o zaletach technicznych, które — jak zawsze — są pierwszorzędno znaczenia.

* Maryan Gawalewicz, usunął się od kierownictwa *Tygodnika Ilustrowanego*, które lat kilka spoczywało w jego wytrawnych i utalentowanych dłoniach. Jak donosi *Więć* warszawski zastąpić go ma p. Józef Wolff, syn księgarza-wydawcy, podpisujący dotąd wymienione czasopismo jako redaktor-odpowiedzialny.

* Mieczysław Zawiejski wyjechał do Florencji, z kąd za kilka tygodni powróci z nowymi pracami rzeźbiarskimi, które tu planował i szkicował, a w stałej swej pracowni ukończy.

* Najwyższe odznaczenie — *prix d'honneur* — w paryskiej szkole sztuk dekoracyjnych otrzymał uczeń Rudnicki.

* *Russkaja Myśl* w zeszycie z września rozpoczyna druk przekładu powieści Henryka Sienkiewicza »Rodzina Połanieckich«. Nadto nakładem tegoż miesięcznika wyjdzie mają dzieła autora »Ogniem i Mieczem« w kilkunastu tomach.

* Rektorem uniwersytetu wrocławskiego obrany został Dr. W. Nehring.

* W dniu i sierpnia na wystawie sztuk pięknych w Berlinie otwarto dział artystów wiedeńskich, składający się z dziewięćdziesięciu czterech utworów, pomiędzy którymi znajdują się także dwa portrety mężkie Kazimierza Pochwalskiego. Krytyka berlińska wyraża się o nich z wielkimi pochwałami.

* Między współpracownikami paryskiego dwumiesięcznika *Revue internationale de sociologie*, wychodzącego pod redakcją René Wormsa, znajdujemy nazwisko Ludwika Gumpłowicza, profesora uniwersytetu w Gracu.

* W teatrze w Kissingen p. t. »O! diese Männer« przedstawiono z wielkim powodzeniem znaną nam dobrze komedię Kazimierza Zalewskiego »Oj! ci mężczyźni!«

* Stan zdrowia Andriollego w ostatnich dniach pogorszył się znacznie.

* Miejsce urodzenia Franciszka Karpińskiego, dwór w Hołoskowie, otaczany przez długi czas opieką poprzedniego właściciela tej wsi, runął w 150 rocznicę urodzin poety. Otóż, aby zastąpić położoną w tem miejscu płytę kamienną przez pamiątkową kaplicę, zawiązał się w Hołoskowie pod Otynią komitet pod przewodnictwem ks. Pawła Jastrzębskiego, który zebrał już na ten cel 1.400 złr. i obecnie o dopełnienie tej sumy zwraca się do ogółu. Adres skarbnika komitetu: Franciszek Piechowski w Czeremchowie pod Otynią.

* W ubiegłym tygodniu ustawiono na miejscu przeznaczenia ostatnią bryłę, koronującą podstawę granitową pomnika Mickiewicza. Po powrocie Teodora Rygiera, bawiącego obecnie w Rzymie, wpuszczone będą w piedestał grupy brązowe, przyozdobić go mające. Architekt Tadeusz Stryjeński, z upoważnienia komitetu czuwał nad dotychczasowemi i czuwać będzie nad przyszłemi pracami technicznymi przy wznoszącym się monumencie.

* Kurtyna do nowego teatru, malowana przez Henryka Siemiradzkiego, w tych dniach ma być już zupełnie ukończoną. Spodziewanem jest nadesłanie jej przed 1 października.

* Występy p. Gustawa Fiszera w charakterystycznych monologach cztery razy wypełniły szczerze salę starego teatru. Utalentowany artysta zapoznał nas z paru nowymi typami, pomiędzy którymi do najudatniejszych — wybornie obserwowanych i doskonale wykonanych — zaliczymy »Furmana-Bałałę« z okolic Sambora. Nie potrzebujemy dodawać, że »Gadulski«, »Kałamarewski«, »Kelner z pod zielonego drzewa« i »Afisz teatralki« szcze-

rze rozmieszczały licznie gromadzącą się w teatrze publiczność.

* Panna Kazimiera Wiśniewska, uczennica szkoły sztuk pięknych w Rouen na publicznem zamknięciu tegorocznego kursu otrzymała cztery nagrody: medal brązowy za kompozycję ornamentálną, medal brązowy za naukę anatomii, medal srebrny za postępy w historii sztuki oraz wzmiankę zaszczytną (*mention honorable*) za rysunek z antyku.

* Fakultet matematyczny na uniwersytecie genewskim ukończyła świeżo panna Marya Kraskowska. — W tejże samej wszechnicy i w tymże samym czasie panna Anna Lipowska otrzymała stopień doktora na fakultecie lekarskim, poczem ofiarowano jej miejsce pierwszego asystenta w genewskiej *Maternité*.

* W ostatnich dniach p. m. odbywały się w Paryżu egzamina na wydziale nauk fizycznych w Sorbonie. Stało do nich sześćdziesięciu pięciu studentów z różnych liceów i specjalnych kursów matematycznych, oraz jedna uczennica, Polka, rodem z Warszawy. Z wymienionej wcale pokaźnej liczby zdobyło stopień licencyata tylko dziewiętnastu, a pomiędzy nimi była pierwszą — w najszerszym znaczeniu tego wyrazu — panna Marya Skłodowska. Od czasów, jak istnieje stara Sorbona, jest to jedyny — zapisany obecnie złotemi głoskami w dziejach tego naukowego instytutu — fakt tryumfu niewieściego. Egzaminatorowie składali pannie Skłodowskiej powinszowania.

* Otrzymujemy następującą odezwę: »Wiadomo powszechnie, że muzyka i śpiew stanowią potęgę, wnioskującą głęboko w żywot całego społeczeństwa. Kto tę potęgę rozumie, ten umie się z nią liczyć i wie jak jej użyć. Oceńmy to już dawno inne narody, tworząc z niej silny czynnik wychowania — środek prowadzący do najsłachetniejszych celów życia. I u nas rozpoczęło się już objawiać dążenie do rozwoju jej na gruncie czysto narodowym, a wznoszenie pieśni ludowej do wyżyn sztuki, niejednokrotnie już przyświecało muzykom naszym, jako cel pełen doniosłego znaczenia. Aby jednakże rozpoczętym już dążeniom tym nadać istotną siłę, która zdolną będzie rozpowszechnić zamiłowanie do sztuki narodowej, usunąć wszystko, co ją profanuje, podnieść ją i uczynić z niej potrzebę swojską, codzienną, która życie uprzyjemnia i uszlachetnia, niedość jest w odosobnieniu dla niej pracować — należy działać wspólnie i jednomyślnie. Działanie zaś takie, możliwem jest tylko przy zespoleniu wszystkich muzyków naszych zawodowych, wszelkich Towarzystw muzycznych i śpiewackich, tudzież kół amatorskich — w jedno ciało. W tym też celu proponujemy utworzenie »Pierwszego Związku Towarzystw muzycznych i śpiewackich polskich i ruskich«, którego zadanie i ustrój w dołączonym projekcie statutu są rozwinięte, upraszamy też równocześnie wszystkich muzyków i Towarzystwa muzykę uprawiające, ażeby myśl utworzenia związku racyli jak najgoręcej popierać. Tylko wspólnymi siłami roztrząsać będzie można skutecznie warunki rozwoju muzyki w kraju, nadawać jej właściwy kierunek, wywoływać kompozycje wyższej wartości, urządzić na zjazdach wielkie produkcje muzyczne i wydawać pismo muzyce poświęcone. Tylko przy wspólnych usiłowaniach pomódz będzie można tym, którzy poświęciwszy swe życie sztuce, znachodzą się nieraz u schyłku swych lat wśród nader przykrych warunków życia. W tym to celu powzięliśmy myśl zawiązania »Towarzystwa wzajemnej pomocy artystów-muzyków«, która na pierwszym zjeździe delegatów będzie przedmiotem obrad. Takiemi zamiarami ożywieni i pełni wiary, że służymy zdrowej i pozytywnej myśli, zapraszamy wszystkie Towarzystwa muzyczne i śpiewackie polskie i ruskie, do jak najliczniejszego przystępowania do »Zwią-

zku». Upraszamy też o wybór delegatów i wysłanie tychże na pierwszy zjazd delegatów, który odbędzie się we Lwowie dnia 24-go września b. r. o godzinie 11-tej w sali gal. Towarzystwa muzycznego. Pierwszy ogólny zjazd wszystkich Towarzystw, odbędzie się w roku przyszłym podczas bytności Najjaśniejszego Pana we Lwowie. Wszystkie Towarzystwa raczą przynajmniej na dni 14-cie przed 24 września podać nazwiska swych delegatów pod adresem »Gal. Towarzystwo muzyczne we Lwowie, gmach teatralny«. We Lwowie, dnia 31 lipca 1893. Dr. Jan Czajkowski, prezes gal. Towarzystwa muzycznego, Rudolf Schwarz art. Dyrektor gal. Tow. muzycznego. Następują podpisy członków Wydziału Tow. muz. Wszystkie Towarzystwa lub kółka muzyczne, które niniejszej odezwy nie otrzymały dla braku dokładnego adresu, raczą łaskawie się zgłosić do gal. Tow. muz. we Lwowie.

* Rosyjska autorka pani Gey-Sahajdaczna przerobiła nowellę H. Sienkiewicza »Ta trzecia« na jednoaktową komedię p. t. »Wiwat!«

* Jarosław Vrchlicki, znakomity poeta czeski, zamianowany został przez cesarza nadzwyczajnym profesorem historii nowoczesnej literatury powszechnej na uniwersytecie czeskim w Pradze.

* Najświeższy zeszyt czasopisma *Kosciusko* obejmuje: Sto lat temu (Wspomnienie). — Testamenty T. Kosciuszki: Testament I-szy z dnia 5 maja 1798 roku. — Zbiory pamiątek po Kosciuszce: I. Rysunki własne Kosciuszki. — Bibliografia do dziejów i życia Kosciuszki przez E. Callier'a, c. d.

* Pięćdziesiąta rocznica założenia Akademii technicznej we Lwowie, z której powstała dzisiejsza politechnika, przypada w d. 4 listopada 1894. Kolegium profesorów postanowiło poczynić przygotowania do uroczystego obchodu jubileuszu.

* *Kuryer Jarosławski* w numerze z 1 sierpnia pomieścił udatnie nakreśloną sylwetkę literacką Wł. L. Anczyca, wraz z portretem nieodżałowanego autora »Emigracji chłopskiej« i »Kosciuszki pod Raclawicami«.

* Pod tytułem *Nafta* zaczęło wychodzić we Lwowie nowe pismo naukowe poświęcone sprawom naszego tyle obiecującego przemysłu naftowego. *Nafta* jest urzędowym organem nowego »Towarzystwa techników naftowych«, a do składu redakcyjnego należą obok prezesa Towarzystwa A. Błażowskiego i dr. Rudolfa Zuber, docenta uniwersytetu lwowskiego, jako odpowiedzialnego redaktora, także pp. Kazimierz Gąsiorowski, A. Gostkowski, Zenon Suszycki, dr. Paweł Wispek i W. Wolski. W słowie wstępnym oświadcza redakcja, że celem jej jak i całego towarzystwa nie jest bynajmniej konkurencja z innymi istniejącymi już poważnymi instytucjami i stowarzyszeniami przemysłowymi i naukowymi. »Zadaniem naszym — mówi ona — nie będzie wyższa polityka naftowa i reprezentacja przemysłu naftowego na zewnątrz. Pragniemy jedynie umożliwić jednostkom pracującym w tym zawodzie wzajemne porozumienie i pouczanie się przez publiczne wypowiedzanie swych odkryć, doświadczeń i potrzeb, oraz pośrednictwo i ułatwienie w szukaniu zajęć zawodowych«. Nr. 1. *Nafty* zawiera następujące artykuły: Do Czytelników. Protokół I. Zgromadzenia techników naftowych odbytego w Jaśle. Protokół posiedzeń zarządu. Odezwa w sprawie szukających zajęcia lub personalu. Statut Towarzystwa. Spis członków Towarzystwa. Odezwa w sprawie reprezentacji przemysłu naftowego na Wystawie Krajowej 1894. Kopalnie nafty w Schodnicy przez Wacława Wolskiego. W sprawie polskiego Towarzystwa górniczego przez dr. Zuber. Korespondencja naftowa z Brzozowskiego. Korespondencja Józefa Mołonia z Torosówki, dalej z Lęzyna (w Jasielskiem) z Łąk pod Bóbrką etc. Literatura. Kro-

nika. Anonse. Członkowie Towarzystwa techników naftowych otrzymują *Naftę* bezpłatnie. Prenumerata dla nieczłonków do końca r. 1893 wynosi 2 złr. 50 cent.

* Piękne wydawnictwo księgarza-nakładcy F. Šimáčka p. t. »*Zemská jubilejní výstava v Praze*« ukazuje się w dalszym ciągu w bogatych, bardzo starannie i wytwornie ilustrowanych zeszytach. Obecnie leży przed nami 26 zeszyt całego zbioru, równie sumiennie opracowany, jak wszystkie poprzednie.

BIBLIOGRAFIA.

Karol Rawer. — »*Dzieje ojczyste dla młodzieży*«. — Lwów. Nakładem Tow. Naucz. Szkół Wyższych. 1893.

(Nit.) Podręcznik do nauki historii polskiej w niższych klasach naszych szkół średnich, należał do niedawna jeszcze do rzędu palących a niezadowolonych kwestyi pedagogicznych. Lekcje tego tak doniosłego w wychowaniu młodzieży przedmiotu, odbywały się zwykle w ten sposób, że uczniowie pozbawieni książki, notować musieli rozmaicie traktowane i mniej lub więcej udatne wykłady nauczyciela, skutkiem czego postęp w samejże nauce nie zawsze odpowiadał skromnym chociażby wymaganiom, jakie stawia instrukcja ministerjalna przy tak zwanej, stylem urzędowym »nauce historii kraju rodzinnego«. Niedostatkiem ztąd wynikającym postanowił zarządzić energiczny obecny prezydent Rady szkolnej, dając inicjatywę i nie szczędząc zachęty do napisania odpowiedniego podręcznika. Władze szkolne położyły większy nacisk niż dotychczas, na naukę samegoż przedmiotu, napisania zaś podręcznika podjął się rutynowany pedagog i uzdolniony historyk, prof. Rawer. Z zadania swego wywiązał się autor nader chlubnie, mimo, iż ułożenie książki, czyniącej zadość rozlicznym warunkom, nie należało wcale do rzeczy łatwych. W pierwszym rzędzie liczyć się musiał prof. Rawer z instrukcją ministerjalną, która uwzględniać każe i podnosić wiele rzeczy, łatwiej stosować się dających w innych prowincjach Austro-Węgier, niżeli w niedawno stosunkowo do dzierżaw Habsburgów przyłączonej Galicji. Jako historyk-Polak nie powinien był też autor pomijać szerszych motywów narodowych, co też mając na względzie, stworzył prof. Rawer rzecz owianą tak serdecznym ciepłem, że nauka historii polskiej z jego książeczki potrafi nie tylko zająć, zainteresować młodzież naszą, ale co więcej rozgrzeje jej serca czcią i miłością dla drogiej nam przeszłości. Wymaganiom dydaktyki stało się również zadość, przez biograficzne a wielce przejrzyste przedstawienie dziejów, tak, iż np. cały okres rządów pierwszych Piastów grupuje się głównie obok Bolesława Chrobrego, dalej zaś obok Bolesławów II i III. Postępując metodą biograficzną, nie spuszczał jednak autor z oka i pragmatyzmu dziejowego, o tyle naturalnie, o ile tenże dla klas niższych szkół średnich, jest w ogóle przystępnym. Geografia ziem polskich, ruskich i litewskich, podana w formie nader zwężonej, stanowi wstęp niejako w podręczniku, poczem następują ciekawe wiadomości o starożytnej Słowiańszczyźnie, a wreszcie dzieje Polski od mrocznych postaci Piasta i jego bezpośrednich następców aż do Kazimierza Jagiellończyka. Współczesna historia Rusi i Litwy, wplecioną jest tu zrzecnie do opisu dziejów monarchów polskich, przyczem pokojowa, cywilizacyjna praca tych ostatnich, znajduje w najważniejszych swych punktach należyte przedstawienie, tak, że przedmiotem opowiadania nie są wcale wyłącznie wypadki polityczne, wojny lub zabory. Oceniając »*Dzieje ojczyste*« prof. Rawera, ze stanowiska naukowego, zauważyć możemy, iż poczynając od XIII wieku opiera się autor na najnowszych badaniach krytycznych, niektóre zaś ustępy książki napisane są wprost wzorowo pod wzglę-

dem treści i metody popularyzowania. Początki dziejów naszych, t. j. od X do XIII wieku są w ogóle jeszcze w nauce mało zbadane, a w obec zasady, że nauka szkolna powinna li tylko pewniki uczniom podawać, rozumiemy dobrze, że autor »*Dziejów ojczystych*« nie mógł w wielu razach, podobnie jak w drugiej części swej książki, iść za najnowszymi badaniami. Wszak tak ważna np. kwestya, jak »Początek szlachty polskiej« — nie jest jeszcze mimo cennych prac Piekosińskiego i Małeckiego dostatecznie zbadaną. Uwzględniając te szkopy, sądzymy jednak, że ostrożność autora sięga czasem zadaleko w pierwszej części jego podręcznika, zwłaszcza w obec tak znakomych rezultatów, do jakich już doszedł profesor Wojciechowski w swych badaniach nad zaraniem dziejów naszych. Stosunkom wewnętrznym pierwotnej Polski poświęci też zapewne prof. Rawer więcej cokolwiek miejsca w następnym wydaniu swego podręcznika, którego pierwszy nakład bliskim jest już podobno wyczerpania. Przyszłe wydanie obejmować ma już całość, a więc i tom drugi »*Dziejów ojczystych*« od Kazimierza Jagiellończyka aż do rozbioru Polski. Styl barwny książki, prostota i jedność wyrażenia a wreszcie przejrzystość w opowiadaniu, ujętem w zdania krótkie, powiązane ze sobą w dłuższe, jedynym napisem objęte ustępy, oto zalety, które obok powyżej wymienionych wyróżniają niezwykle korzystnie ten podręcznik. Znajdzie on też niewątpliwie coraz szersze zastosowanie, zarówno w szkołach jak i w domowej, prywatnej nauce.

* *Jan Kollar* (1793—1852) Sborník statí o životě, působení a literární činnosti pěvce »*Slávy Dcery*«. Na oslavu jeho stoletých narozenin. Redacki *Františka Pastrnka*. Vydaly *Český Akademický Spolek ve Vídni*, a *Slovenský Akademický Spolek »Tatran« vo Viedni*. — Ve Vídni. 1893. Tiskem J. Otty v Praze. — Nakladem obou spolků.

Jest to bogata i wspaniała książka zbiorowa, ozdobiona ilustracjami, wydana przez dwa w tytule wymienione stowarzyszenia studenckie pod redakcją prof. F. Pastrnka, na cześć stoletniej rocznicy urodzin Jana Kollara. Niemal cała śmietanka pisarzy czeskich jest w niej przez rozmaite prace — związki mające z Kollarem — reprezentowana. Nadto znajdujemy tu artykuły autorów serbskich, rusińskich, oraz polskie: »Posłanie J. Kollara o wzajemności Słowian w języku polskim« przez prof. W. Nehringa, tudzież wspaniały wiersz *Adama Asnyka* (El...y), który z upoważnienia poety podajemy w dzisiejszym zeszycie *Świata*. Dzieło wydane jest z wielką starannością i znajdzie prawdopodobnie licznych czytelników w całej Słowiańszczyźnie.

Guide-Album du Touriste par Constant de Tours. — »*Vingt jours sur les côtes de l'océan*«. — De la Loire à la Gironde. — 125 dessins d'après nature. — Paris. May et Motteroz. Lib. Imp. réunies. — Prix: 3 fr. 50.

Wierni wielbicieli »przewodników« Constant de Tours (współziomka naszego K. Chmieleńskiego) oczekują z niecierpliwością na sezon letni, w ciągu którego nasz niestrudzony *cicerone* wyda jeden lub parę albumów, tak mile i życzliwie witanych przez ogół europejskich czytelników i turystów. Oprowadziwszy nas po Paryżu, Normandii, Bretanii, Pikardii, Belgii, Szwajcarii, a nawet Tunisie — o czem niedawno na tem miejscu wspominaliśmy — sympatyczny autor wiedzie nas do Wandei, do kraju »Szuanów«, na modne morskie wybrzeża: Sables-d'Olonne i Royon, słowem zatrzymuje nas nad oceanem dni dwadzieścia, a wycieczka ta łączy urokiem ślicznych krajobrazów i mało znanych — u nas szczególnie — miejscowości, posiadających niezmiernie ciekawe zabytki, pomniki i pamiątki. Wdzięk opowiadania niezmówny udatnie kojarzy się z prak-

tycznością wskazówek, pozwalających podróżnemu ułożyć budżet wycieczki z góry i nie przekroczyć go wcale. Wartość tekstu uzupełnia i podnosi bogactwo wybornych rysunków, odtwarzających monumenty, krajobrazy, postacie, typy ludowe itp. w przedziwnych reprodukcjach, wykonanych i odbitych z tą wytworną starannością, jakiej dom wydawców May i Motteroz był i jest zawsze wzorem.

Ludwik Dębicki. — *«Z teki dziennikarskiej»*. — Pogadanki literackie. — W Krakowie. Księgarnia spółki wydawniczej polskiej. 1893.

Książka ta składa się z kilkunastu recenzji o utworach literackich różnej treści, pisanych w chwili, kiedy dzieła i broszury omawiane, wychodziły z pod pras drukarskich i mniej lub więcej zajmowały uwagę publiczną. Są tu sprawozdania z powieści, pamiętników, prac historycznych, religijnych i politycznych, pomiędzy którymi mieszczą się także artykuły dziennikarskie i literackie ogólniejszej treści, zając mogące szersze koła czytelników, jak: *«Zwrot chrześcijański w literaturze francuskiej»*, *«Neochrześcianie»*, *«Krytycyzm w historii, literaturze, polityce, i jego granice»*. Wszystkie noszą na sobie silnie wyciśnięte piętno tendencji i opinii autora, oraz stronnictwa, do którego należy, we wszystkich jednak znajdujemy bez trudu: głęboką wiarę w wyznawane przekonania, zapal gorąckowy podtrzymujący je w jego umyśle i sercu, a nadto — co mu polityczny należy za niezaprzeczoną zasługę — chęć panowania nad zbyt gwałtownym wybuchem namiętności partyjnych, tudzież pewne umiarkowanie i ton przyzwoity w polemice z przeciwnikami. Słowem całość jest interesująca, jak każdy dokument obrazujący i uwydatniający jedną stronę lub jedną barwę życia społecznego danej chwili. Gdyby dziennikarze nasi, idąc za przykładem francuskich publicystów i Ludwika Dębickiego — który wydając *«Z teki dziennikarskiej»* kolegów nadsekwanskich naśladował — zbierali prace swe rozrzucone po periodycznych publikacjach codziennych i wydawali je w tomach, niejedna rzecz pożyteczna i informować mogąca przyszłych badaczy miejscowych stosunków społecznych ocalona została dla historii. Bibuła gazetarska mnoży się ciągle, tworząc ocean niepamięci, w którym zginać może dużo rzeczy cennych, bo posiadających znamienne piętna epoki i ludzi, jeśli się ich na dobie nie wyłowią.

«Przewodnik ilustrowany po c. k. austr. kolejach państwowych», na szlakach Kraków-Sucha - Żywiec - Zwardoń, Skawina - Oświęcim. Wedle wskazówek c. k. Generalnej Dyrekcji austr. kolei państwowych zredagował i napisał *G. Smólski*. — Cena 30 ct. — Wiedeń.

Bardzo dobrą myśl miał zarząd kolei państwowych podejmując wydawnictwo podobnych *«Przewodników»*, jak ten, który leży przed nami na stole redakcyjnym, a którego tytuł wymieniliśmy powyżej, zwłaszcza, że p. G. Smólski opracował go sumiennie i starannie według dobrych źródeł. Znaczną część ładnej książeczki poświęcił autor naszemu miastu, opisując je nader szczegółowo i dając czytelnikowi-turysty wszelkie możliwe wskazówki. Informujące go o przeszłości Krakowa, jego pomnikach, instytucjach itp. Całość poprawnie drukowaną i objętą ładną okładką zdobią ilustracje, dobrze wykonane podług fotografii zakładów krakowskich pp. J. Kriegera i J. Sebalda, oraz uzupełnia plan naszego starego grodu i kolorowana mapa galicyjskich kolei żelaznych.

«Wspomnienia o trzecim pułku ułanów byłego wojska polskiego» przez *L. Szumskiego*, oficera tegoż pułku. — W Krakowie. Nakładem księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej. — 1893. — Cena 2 fl. w. a.

Jest to bardzo interesujące opowiadanie o

udziale trzeciego pułku ułanów w kampanii 1831 roku, które do pewnego stopnia uważać nawet należy za materiał historyczny, nie bez istotnego znaczenia. Autor pamiętnika opowiada z wielką prostotą i szczerością, chociaż łatwo zauważyć, że wyrażone przezeń poglądy krytyczne podporządkowane są jego osobistym sympatjom i antypatjom, te zaś jednak wyrodiła głęboka miłość ojczyzny. Książka należy do cennych nabytków dla naszej literatury pamiątkowej. Zewnętrzna strona wydawnictwa mile wpada w oko, papier bowiem dobry, druk staranny, a ilustracje kolorowe, pędzla Juliusza Kossaka, posiadają prawdę, blask i werwę właściwą naszemu wielce utalentowanemu bataliście, który konia i żołnierza — a zwłaszcza konia i żołnierza polskiego — rozumie i odtwarza jak żaden z naszych malarzy. Tego rodzaju dzieła nie potrzebujemy polecać czytelnikom, nie wątpimy, że wkrótce znajdzie się ono we wszystkich domach polskich Galicji i W. Ks. Poznańskiego.

K. I. Gorzycki. — *«Wpływ stolicy apostolskiej na rokowania pokojowe Kazimierza W. z Czechami i Zakonem niemieckim»*. — Lwów. 1893.

(*Nit.*). Wymieniona powyżej rozprawa omawia źródłowo stosunek awiniońskich naówczas papieży do pokojowych zamiarów Kazimierza W. względem wszystkich wrogów Polski. Taktem politycznym umiał ostatni Piast na tronie polskim pozyskać dla siebie przychylność decydujących sfer kurji apostolskiej, w następstwie czego dyplomaci apostołscy pomagali z polecenia papieży Jana XXII, Benedykta XII i Klemensa VI Kazimierzowi w układach z Czechami w Wyszehradzie, a z Krzyżakami w Innowrocławiu i Kaliszu. Stolica apostolska wydała nawet proces kanoniczny zakonowi, aby pomódz Polsce, za mało jednak już wówczas znaczyła wola papieży w międzynarodowej polityce, iżby proces ten mógł zwrócić Piastom ziemie pomorskie. Fakta najbardziej ciekawe, odnoszące się do spraw omawianych, zebrał autor w ostatnim rozdziale swej rozprawy, zatytułowanym: *«Klemens VI w obec spraw czesko polskich»*. Widzimy tu, że genialny a ostatni z rodu Piast, nie spuszczał nigdy z oczu możliwości odzyskania Szląska, choćby tylko przez swych następców; dlatego też opierał się skutecznie odłączeniu biskupstwa wrocławskiego od archidiecezyi gnieźnieńskiej i jak mógł szkodził Czechom, wśród książąt lennych szląskich. Co do samejże rozprawy i jej wartości naukowej, to zaznaczyć możemy, iż obejmuje ona nietylko umiejętnie zebrane rezultaty obcych badań, ale i własne wnioski, oraz spostrzeżenia p. Gorzyckiego, jako taka zaś, staje się praca niniejsza cennym przyczynkiem do dziejów ulubionego widocznie od dłuższego czasu przez autora — Kazimierza Wielkiego. Za wielką zaletę, poczytać możemy p. Gorzyckiemu, iż nie opisuje rzeczy naukowych zupełnie sucho, ale przeciwnie usiłuje je oprzeć, podobnie jak w pierwszej swej pracy o *«Połączeniu Rusi Czerwonej z Polską»*, na szerszym tle socjologicznym a nawet po części historyzoficznym. Metoda podobna stawać się będzie z czasem niewątpliwie coraz bardziej niezbędną dla każdego historyka a i dziś już posiada wybitnych talentem zwolenników.

«Kwiaty w pokoju», ich wybór, sposób pielęgnowania, według najnowszej nauki i własnych doświadczeń, przez *Elżbietę Mieroszewską*. Kraków. Nakładem I. M. Himmelblaua.

Praktyczna i doskonała książeczka, którą czytelnikom naszym, lubiącym kwiaty pokojowe, gorąco polecić możemy.

Józef Rogosz. — *«Zerwane struny»*. Powieść współczesna. — Warszawa. Nakładem księgarni T. Paprockiego i S-ki. 1893.

Mamy przed sobą nową powieść utalento-

wanego naratora, umiejącego opowiadać zajmująco i barwnie. Maniera powieściopisarza technicznie wprawdzie starą szkołą; niektóre postacie trzymane są w kolorystyce melodramatycznym, a niektóre narysowane karykaturalnie; język skażony często plamami zaniedbania, nigdzie prawie nie podnosi się do stylowych wyżyn kunsztu — ale za to budowa jest ścisła i poprawna, a tok relacji łatwy, żwawy, potoczny, bystry, budzi zainteresowanie, które zapewni książce licznych czytelników.

«Lotar Dargun» napisał *Dr. Władysław Leopold Jaworski*. — Odbitka z *Przeglądu prawa i administracji*. — We Lwowie. Skład główny w księgarni Spółki wydawniczej w Krakowie. — 1893. — Cena 40 ct.

Jest to historyczny przegląd prac nieodżałowanego prof. wszechnicy Jagiellońskiej, Lotara Darguna, przedwcześnie zmarłego w r. b. Utalentowany i uczony krytyk kończy rozprawę swoją następującymi słowami, określającymi znaczenie działalności nieboszczyka dla polskiej nauki i naszego społeczeństwa: *«Dargun wykladał na uniwersytecie polskim i prace swe ogłaszał bądź w zupełności, bądź w wynikach w języku polskim. Sława, którą zyskiwał zagranicą za dzieła ogłaszane w języku niemieckim, spływała na wszechnicę, w której katedrę zajmował. Że po niemiecku pisywać musiał, zrozumie każdy, ktokolwiek w nauce pragnie czegoś dokonać. Decydującym jednak powodem, dla którego polską naukę i społeczeństwo polskie liczyć go musi do swoich pracowników, jest to, że między nami i dla nas działał. A działaniu temu przypisać należy doniosłe znaczenie. Błędem nauki naszej ostatnich dziesiątków lat jest to, że w nieproporcjonalnej mierze najlepsze siły poświęca historii, a w historii wydawaniu źródeł. Wskutek przeważnemu oddawaniu się historii, tracą nauki społeczne; wskutek zajmowania się prawie wyłącznie wydawaniem źródeł — brak syntezy. Żeśmy się w ostatnich dziesiątkach lat rzucili całą siłą do historii, zrozumieć łatwo, trudniej wybaczyć. Że w historii pierwszą rzeczą jest wydanie źródeł, pojmie każdy, nie każdy jednak jest wyznawcą zdania, żeśmy nie doszli jeszcze do punktu, gdzie nieodzowną staje się potrzeba pracy konstrukcyjnej, potrzeba stworzenia choćby niedostatecznej syntezy. Co więcej. Wartość mnożonych wydawnictw źródeł, bez przedsięwzięcia od czasu do czasu prac konstrukcyjnych, staje się problematyczną. Otóż do Darguna żaden z tych zarzutów nie może się odnosić. Obok historii pracował w naukach społecznych, w historii zaś pracował konstrukcyjnie. Ale nadto historię połączył z etnografią i w ten sposób przeniósł ją na pole socjologii. I to jest główną jego zasługą, dostatecznie, jeśli nie u nas, to zagranicą ocenioną»*.

«Jakim winien być stosunek Żydów do Polaków?» przez *Dra A. Salza*. — Nakładem Autora. We Lwowie. 1893.

Broszura ta porusza sprawę niezmiernie dla społeczeństwa naszego ważną, a pomimo pozornego zajęcia się u nas kwestią żydowską niemal zupełnie ogółowi nieznaną. Omówić jej w krótkiej wzmiance nie sposób, poświęcimy jej zatem obszerny artykuł w jednym z przyszłych zeszytów *Świata*.

NEKROLOGIA.

* W Paryżu zmarł powieściopisarz i dramaturg *Mario Uchard*, którego dramat *«Fiammina»* przedstawiano także z powodzeniem w przekładzie na scenie krakowskiej. Mario Uchard był mężem znanej z piękności i talentu artystki dramatycznej Magdaleny Brohan, stowarzyszonej komedyi Francuskiej. Jako powieściopisarz cieszył się sympatiami publiczności i uznaniem krytyki.